



3 1761 08822330 0

A. Sienkiewicz

PIŚMIA

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXVI

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

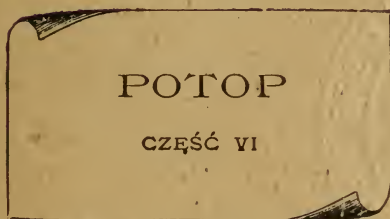
P
5724

Sienkiewicz, Henryk

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXVI



486124

17.2.49

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO

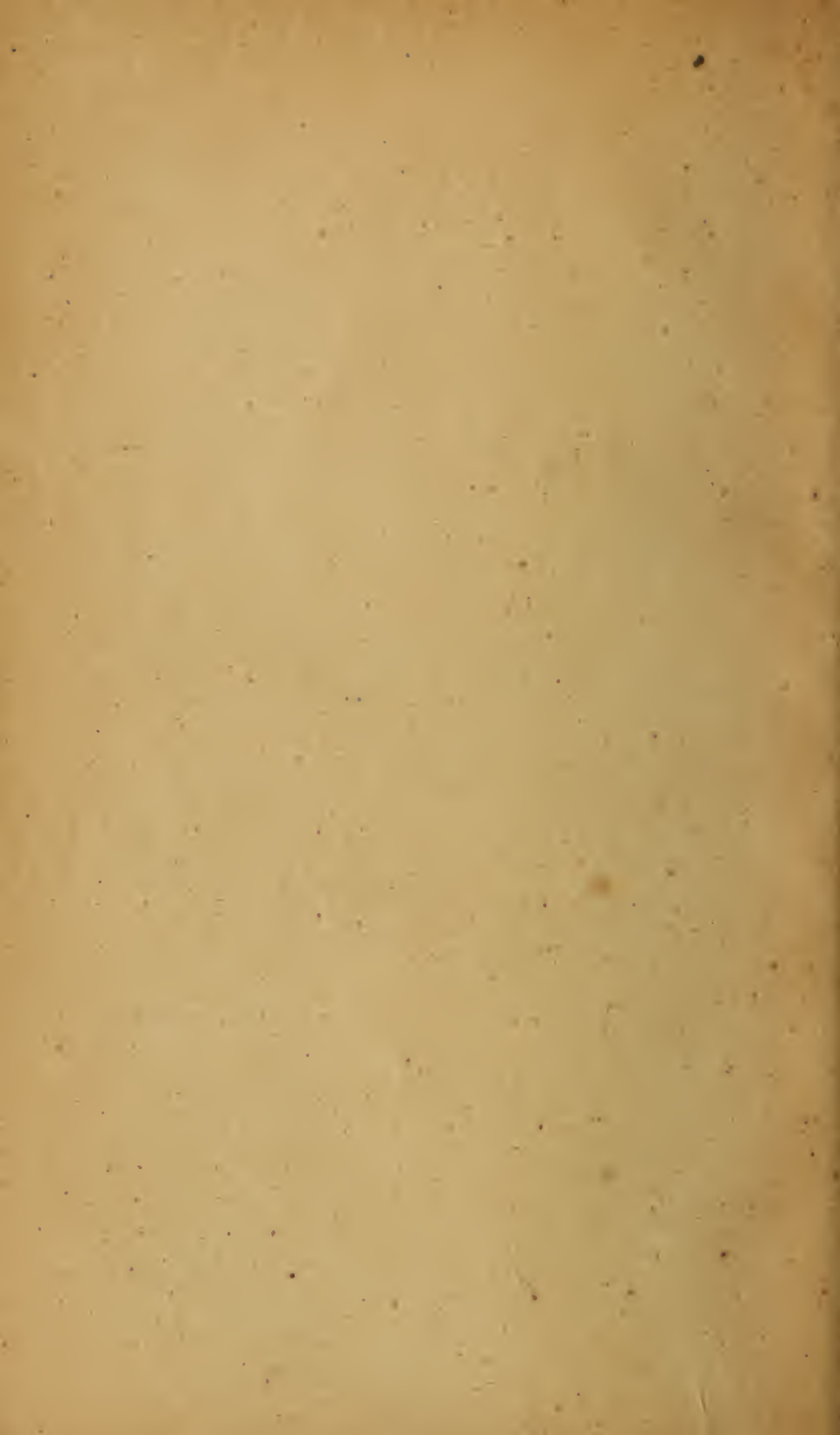
(DODATEK BEZPŁATNY)

1904

Дозволенс Пензурою.
Варшава, 11 Октября 1903 г.

P O T O P

CZĘŚC SZÓSTA.



ROZDZIAŁ I.

Ta wojna wytępienia była dopiero w początku, gdy pan Kmicieć wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego nadwerężone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepelnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane, że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja u powroźnika, mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się lżej, a świtaniem ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny, zimowy ranek zaledwie rozproszył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicieć wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawił wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławach klęczało kilkanaście postaci, z twarzami ukrytymi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać, leżącą krzyżem przed samymi stalami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich, dziecinnych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkimi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się

gorliwie i całą duszą. Kmicie również pogrążył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimowoli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia, podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dniem, bielejącem w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza, odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit, podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, z pod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny, z takiemiż piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznanego nie mógł pan Kmicie widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przytem zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki, nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stalli, tak, aby gdy nieznanomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już „Pater noster“. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół wypełnił się zwolna postaciami o podgolonych głowach, przybranych w delie, w żołnierskie burki, w szuby i altenbassowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicie trącił w łokieć stojącego obok szlacheica i szepnął:

— Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto to jest?

— Chybaś waść z daleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? — odparł szlacheic.

— Pewnie, zem z daleka przyjechał i dlatego pytam w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafie, to mi nie poskapi odpowiedzi.

— To jest król.

— Na Boga żywego! — zawołał Kmicic.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelię.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przeźroczystą, jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, wnuka i prawnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go własni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było, jak w księdze, w tem obliczu wyczytać. A jednak biła z niego nie tylko rezygnacya, zdobyta przez wiarę i modlitwę, nie tylko majestat króla i Bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcem, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłonią ścisnął serce. Żal zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy niezmiernej podcięło mu kolana, aż drżeć począł na całym ciele i nagle nowe, nieznanne uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł, iż niema nic droższego na ziemi od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko na świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcicie, zuchwały warchoł, zamarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista, oddany duszą całą swemu królowi.

— To nasz pan! nasz pan nieszczęśliwy! — powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu, co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangielii klęknął znowu,

ręce rozłożył, oczy wzniosł ku górze i pograżył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcie, którego Kmicie zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

— A coś waćpan za jeden? — spytał.

Kmicie nie od razu zrozumiał pytanie i nie zaraz odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

— A coś waćpan za jeden? — powtórzył ów personat.

— Szlachcie, jako i waszmość! — odrzekł pan Andrzej, zbudziwszy się, jakby ze snu.

— Jakże cię zowią.

— Jak mnie zowią? Zwę się Babinicz, a jestem z Litwy, z pod Witebska.

— A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, z pod Witebska jedziesz?

— Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

— A jeśli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakże to? Z pod chorągwi Zbrożka może, albo Kalińskiego? Z pod Częstochowy?

— Nie z pod Częstochowy, ale ze samego klasztoru, wprost!

— Chyba waść żartujesz? Co tam? co słyhać? Broniże się jeszcze Jasna Góra?

— I broni się i będzie broniła. Szwedzi już na odstąpieniu!

— Dla Boga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię Szwedzi puścili?

— Jam ich o permisyę nie prosił, ale wybaczaź waćpan, że w kościele obszerniejszej relacyi dać nie mogę.

— Słusznie, słusznie — odparł pan Ługowski. — Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... W kościele nie przystoi.., słusznie! Czekaźże waćpan. Zaraz się król podniesie,

śniadać przed sumą pojedzie! Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo niema czasu!...

To rzekłszy, ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy ukazało się naprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł zwolna Jan Kazimierz.

— Miłościwy królu! — zakrzyknął pan Ługowski — są wieści z Częstochowy.

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

— Co? gdzie? kto jest? — spytał.

— Ten oto szlachcic. Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

— Zali klasztor już zdobyty? — zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął, jak długi, do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

— Na potem — wołał — na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapalem:

— Nie zdobyty, miłościwy panie i nie będzie! Szwedzi pobiei! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizerya! O odstąpieniu myślą!...

— Chwała! chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! — rzekł król.

To rzekłszy, odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pograżył się w milezeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozezulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał, jak żubr.

Król, pomodliwszy się i wyplakawszy, wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

— Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery

prowadzi. Nie zażyjemy rannego posiłku inaczey, jak słuchając o obronie!

I w kwadrans później pan Kmicie stanął w komnacie królewskiej przed dostojnem zebraniem. Król czekał tylko na królową, by zasiąść do rannej polewki; jakoż Marya Ludwika pojawiła się za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

— Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który stamtąd przyjeżdża i tę wieść przynosi!

Czarne oczy królowej spoczyły badawczo na młodej twarzy junaka i widząc jej szczerłość, rozjaśniły się radością; on zaś, oddawszy niski ukłon, patrzył także na nią śmieie, jako prawda i uczciwość patrzeć umięją.

— Moc boska! — rzekła królowa — ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca i da Bóg, że to będzie początek odmiany fortuny. Wprostże z pod Częstochowy jedziesz?

— Nie z pod Częstochowy, ale, powiada, że z samego klasztoru, to jeden z obrońców! — zawołał król. — Złoty gość!... Bodaj tacy co dzień przybywali; ale pozwólcie-że mu przyjść do słowa... Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakieście się bronili i jak was ręka Boska piastowała?

— Pewnie, miłościwi państwo, że nie więcej, jeno opieka boska i cuda Najświętszej Panny, na które codziennie własnemi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicie zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się schodzić. Przyszedł więc nuncyusz papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz Wydźga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmińskim, potem zaś jeszcze prymasem. Wraz z nim wszedł kanclerz koronny, pan Koryciński i Francuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki wygnać chleb dzielić, niż wiarę zaprzysiężoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

— Słuchajcie wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tyłu znamienitych ludzi nie trwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całym oblężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przeżył. Mówił o księdzu Kordeckim, jak o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę, bez ogródki Najświętszej Pannie, Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz arcybiskup oczy załzawione do nieba wznosił, ksiądz Wydźga pospiesznie wszystko nuncyuszowi tłómaczył, inni panowie za głowy się chwyтали, inni modlili się, lub bili w piersi.

Wreszcie, gdy Kmicie doszedł do ostatnich szturmów, gdy począł opowiadać, jak Müller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między niemi taką kolubrynę, której nie tylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły — cisza uczyniła się, jak makiem siał i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz pan Kmicie urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

— Teraz muszę mówić o sobie, choć wolałbym mileżeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrzebuję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

— Mów śmieje, wierzym ci! — rzekł król. — Cóż owa kolubryna?...

— Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem!

— Na m ły Bóg! — zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastąpiła cisza, takie zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli, jak w tęczę, w juna, który stał z iskrzącymi się oczyma z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimo woli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

To też po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

— Patrzy na to ten człowiek.

— Jakiś to uczynił? — zawołał król.

Kmicie powiedział, jak było.

— Uszom się nie chce wierzyć! — rzekł pan kanclerz Koryciński.

— Mości panowie! — odezwał się z powagą król — nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

— Ten może o sobie powiedzieć: „Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae!“ — rzekł ksiądz Wydźga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

— Prawie to niepodobne rzeczy — ozwał się znów kanclerz. — Powiedzże, panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

— Huk ogłuszył mnie — rzekł Kmicie — i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Müller skazał mnie na śmierć.

— Ty zaś uciekłeś?

— Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Müllera, żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

— Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim — rzekł kasztelan Krzywiński. — Jego pułk z Müllerem pod Częstochową stoi... Prawda!

— Ów Kuklinowski posłował wprzódy od Müllera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdy

go do bramy odprowadzał... Ja zaś trzasnąłem go w głowę i skopałem nogami... Za to urazę do mnie powziął.

— A to widzę z ognia i siarki szlacheic! — zawołał rozweselony król. — Takiemu w drogę nie wchodź!... Müller oddał cię tedy Kuklinowskiemu?

— Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną w pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł i ogniem boki palił.

— Na Boga żywego!

— Wtem go odwołano do Müllera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpierw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

— I uciekliście. Teraz rozumiem! — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać i lepiej ogniem przypiekleć.

To rzekszy pan Kmicie, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się na nowo i oczy błysły mu, jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią w stół i wołać ze śmiechem:

— Dobrze mu tak! dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

— Zostawiłem go żywego — odrzekł Kmicie — lecz do rana musiał ostygnąć.

— To sztuka, co swego nie daruje! Więcej nam takich! — wołał król, zupełnie już rozbawiony. — Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

— Kiemlicze: jest ojciec i dwóch synów.

— „Mater mea de domo Kiemliczówna est“ — rzekł z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydźga.

— To widać są Kiemlicze wiecy i mali — odparł wesoło Kmicie — a ci nie tylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

— Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby, albo spodziewanej nagrody radzi klimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

— Nie znam ja godności waszmość pana — odrzekł — która, jak tuszę, musi być znaczna... więc nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że niemasz takiej godności, któraby pozwalała szlachcicowi bez racyi łgarstwo zadawać.

— Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! — rzekł pan Ługowski.

Kmicie wybuchnął gniewem:

— Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać, niż gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem, niż krwią!

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

— Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawda, coś mówił, to powinieneś mieć bok spalony?

— Pójdźże wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! — huknął Kmicie.

— Nie potrzeba — rzekł król — wierzym ci tak!

— Nie może być, miłościwy królu! — zakrzyknął pan Andrzej — sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolorystą nie czynił. Żeby mi się nagrodziła męka, miłościwe państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzono, niechże niewierni Tomasz dotkną ran moich!

— U mnie masz wiarę! — rzekł król.

— Sama prawda była w jego słowach — dodała Marya Ludwika — ja się na ludziach nie myślę.

Lecz Kmicie ręce złożył.

— Miłościwe państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek

idzie ze mną na stronę, bo ciężkoby mi tu było żyć w podejrzaniach.

— Ja pójdę — rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.

To rzekłszy, odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:

— Nie dlatego idę, bym nie wierzył, bo wierzę, ale by z waszmością pogadać. My się gdzieś na Litwie widzieli.. Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, iżem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.

Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagle pomieszenie.

— Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk rodzic brał ze sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.

— Może być.. Twarz waćpańska pewno mi nie obca, chociaż w tedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako memoria fragilis est, toż mnie się przewiduje, że cię wtedy inaczej zwali?

— Bo lata pamięć mącą — odparł pan Andrzej.

Zaczem weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.

— Upieczon, miłościwy królu, jako na roźnie! — rzekł. — Cały bok ze szczeniem przypalony!

Więc gdy z kolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:

— Nigdyśmy nie wątpili, że prawdę mówisz i zasługa twoja, ani ból darmo nie przeminie.

— Dłużnikami twymi jesteśmy — dodała królowa, wyciągając doń rękę.

Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła, jako matka, po głowie.

— Ale jużże się na pana kanclerza nie gniewaj — rzekł znowu król. — Po prawdzie, nie mało tu było zdrajców, albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę de publicis wydobyć.

— Coby tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak

wielkiego człowieka — odpowiedział pan Andrzej. — I nie śmiałbym nawet mruczeć na zacnego senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.

Kancelarz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.

— No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tem, że i Korycińscy często krwią, nie samym woskiem pieczętowali...

Król rozweselony był zupełnie.

— Udał nam się ten Babinicz! — rzekł do senatorów. — Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię też od boku naszego nie puścim i da Bóg, razem niezadługo do miłej ojczyzny powrócimy.

— O najjaśniejszy królu! — zakrzyknął w uniesieniu Kmicic — chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc, Częstochowę oblęgali, że wszyscy dnia i godziny twego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś, jako jeden mąż przy tobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie nawet chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklinowskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż, bośmy tam, jako owce bez pasterza!...

Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która, nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.

Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:

— Głos całego narodu przez usta tego szlachcica słyszę!...

— Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... — zakrzyknął Kmicic.

Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tem, co mówił Kmicic.

— Zawsze — rzekł król — gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd.

— Ta poprawa już się spełniła — rzekła Marya Ludwika.

— Majestas infracta malis! — rzekł, spoglądając na nią z uwielbieniem ksiądz Wydźga.

— Ważne to są rzeczy — przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński — zali istotnie deputacye od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

— Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! — odparł pan Andrzej. — U Zbrozka i Kalińskiego wszyscy głośno o tem mówili, nie na Müllera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacye, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami cpowiedzieli, jako w całym kraju wre, jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał, a teraz samo owo wojsko chce napowrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu niema, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

— Mielśmy już i my od wojsk wiadomości — rzekł król — byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czei oznajmiali...

— I to schodzi się z tem, co ów kawaler powiada — rzekł kanclerz. — Ale jeśli deputacye i między pułkami chodzą, to ważne jest, bo znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

— A Koniecpolski? — rzekł król — a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najeźdźnika stoją, w oczy mu patrzą i o swej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasepił się nagle i jako,

gdy słońce za chmurę zajdzie, mrok od razu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

— Bóg patrzy w serca nasze, żeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencya szwedzka nas wstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz, coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota nie zmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który tak nie dawno nas opuścił i z tak lekkim sercem z najezdnikami się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom. Boleść ścisła nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przykłady? Którenże król tyle doznał zdrad i nieżyczliwości, któren tak był opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa — i — zgroza powiedzieć! — życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyznę opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale, by własnych poddanych, własne dzieci, od straszliwego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

— Miłościwy panie — krzyknął Kmicic — ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoszcze go ręka Boża, ale przecie, na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, któryby rękę na świętą osobę pomazańca boskiego śmiał podnieść!

— Ty w to nie wierzysz, boś pocziwy — odrzekł król — ale my mamy listy i dowody. Już to gorzko odplacili się nam Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, któreśmy ich ob-sypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło, i nie tylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

— Do jakiego zamachu? — zawołał zdumiony Kmicic.

— Doniósł nam — rzekł król — że znalazł się taki,

który mu się za sto czerwonych złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąkać pytanie:

— Kto to był taki?... Kto to był?..

— Niejaki Kmicic — odrzekł król.

Fala krwi uderzyła nagle panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił się za czuprynę i straszonym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

— To łgarstwo! Książę Bogusław łże, jak pies! Miłościwy królu, panie mój, nie wierz temu zdrajcy; umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicicby nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego sterane obłąčeniem, podcięte wybuchem prochów w kolumbrynie i męką, zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie — i runął bez przytomności do nóg królewskich.

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłómaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

— Albo tak pocziwy, że sama abominacya z nóg go zwała, albo jaki tego Kmicica krewny — rzekł pan kasztelan krakowski.

— Trzeba się będzie tego dopytać — odpowiedział kanclerz Koryciński. — Oni tam wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić — ale... nie trzeba jeszcze zbyt ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno; bok ma spalony, czegoby w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni, jako słudzy Boży, wszelką klemencyę nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą; ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku, czy na kuligu... nie pomnę...

— I co z tego? — rzekł król.

— I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

— Nie powiadaj byle czego! — rzekł król — młody jesteś i nieuważny, w głowie łącno ci się mogło pomieszać. Babinicz, czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie mam ufać? Szczerłość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobiebym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi nie miał ufać, którego krew za nas i ojczyznę przelewał.

— Więcej on na ufność zasługuje, aniżeli list księcia Bogusława — rzekła nagle królowa — i polecam to uwadze waszych dostojności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom birżańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łącno przypuścić, że księżę Bogusław chciał przytem jakowego wroga swego pogążyć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

— Gdybym nie przywykł do tego — rzekł prymas — że z ust miłościwej królowej jejności sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbiegłego statysty godnych.

— „...curasque gerens, animosque viriles...” — przerwał z cicha ksiądz Wydźga.

Poniesiona temi słowy królowa, wstała z krzesła i tak mówić poczęła:

— Nie o Radziwiłłów birżańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łącno podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali; ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zacierający... Ale najbardziej mnie bołą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozejrzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi naród, w którym tak otwarty kandor żyje; gdzie państwo, w którymby o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnym zbrodniach i nigdy nie-

przejednanych zawziętościach, jakich pełne są obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli, inne królestwo, gdzieby wszyscy królowie własną, spokojną śmiercią umierali. Niemasz tu nożów i trucizn, niemasz protektorów, jako u Angielczyków... Prawda, mój panie, zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość... Ale któryż to jest naród nigdy niebłądzący i gdzie jest taki, któryby tak prędko winę swą uznał, poprawę i pokutę rozpoczął? Oto już się obejrzeni, już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przelać, życie oddać, fortuny poświęcić dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żałującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie zwrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskimi rządami twemi... Jedź między nich... Ja niewiasta, nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę żal za grzechy i restaurację tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła boska sprawiedliwość różgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie dziełek swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć. Lecz ty nie gardź niemi, królu i powierzyć się ich synowskiej dyskrecyi nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienia w pociechy, klęski w tryumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy, siadła królowa jeszcze z ogniem w źrenicach i falującą piersią; wszyscy spoglądali na nią z uwielbieniem, a ksiądz kanclerz Wydźga zaczął mówić echowym głosem:

— Nulla sors longa est, dolor et voluptas
Invicens cedunt.

Ima permutat brevis hora summis...

Lecz nikt go nie słuchał; bo zapal bohaterskiej pani udzielił

się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcami na poźółkłej twarzy i zakrzyknął:

— Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królową!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu procczem mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę inter regna, tem będzie lepiej!...

Na to ozwał się z powagą prymas:

— Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negocwać, ani od przedsięwzięcia odwozić, w którym jest hazard, ale może być i zbawienie. Wszelako za roztropną rzecz uważałbym jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam conceptów zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

— Zatem do Opolu! — zakrzyknął król — a potem w drogę i co Bóg da!

— Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! — rzekła królowa.

— Amen! — rzekł prymas.

ROZDZIAŁ II.

Pan Andrzej ciskał się, jak ranny żbik, w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Nie dość, że ów ksiązę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie zbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nie tylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

To też były chwile, że Kmiecic chciał się wyrzec wszystkiego, sławy, która się przed nim otwierała, służby królewskiej, a lecieć i mścić się na tym magnacie, którego by pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki ksiązę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezczelność oskarżenia na jaw

wywieść, to właśnie służba królewska, w niej bowiem mógł światu okazać, że nie tylko na świętą osobę ręki podnosić nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtą Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleźć.

Zgrzytał zębami, kipiał, jak war, szarpał na sobie odzież i długo, długo nie mógł się uspokoić. Lubował się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach; przysięgał się na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierć i męki czekały. I jakkolwiek ksiązę Bogusław potężny był pan, którego nie tylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska, nie łatwo mogła osiągnąć, przecie, gdyby tę niepoohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sy-piał spokojnie i nie raz zadrżałby przed jego ślubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że ksiązę nie tylko okrył go sromotą i nie tylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który od razu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu ze sobą jechać do Opoła, gdzie na walnem zebraniu senatorów miano obradować nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czem obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał znów drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska, na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie od dawna w kraju myślano, ale który, jak się potem pokazało, zawarty został pod imieniem Konfederacyi Tyszowieckiej później nieco.

Na razie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj temi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajemną obradę, na którą i Kmicic, za przyczyną królewską, jako przywożący wieści z Częstochowy, dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać, czy powrót ma zaraz nastąpić, czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili, w której wojska nie tylko chęcią, ale i czynem opuszczą Szweda.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom, rzekłszy:

— Nie o powrocie wasze dostojności radźcie, ani o tem,

jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tem z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że cobądź ma nas spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojności zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najsluszniej powrót skutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbyt panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposłuszeństwo okazał, gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania, według rozkazu królewskiego, oddać, do Lubowli uwiózł. „Wielka (mówili) jest pycha i ambicya tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda i czy całej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkimi górować i nie tylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem“.

Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

„Jeszcze Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską Bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych niema. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubowla jest położona, niemasz innych wojsk, prócz wojsk marszałka i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi, ani odwagi. Z Lubowli bliżej przytem na Ruś, która od zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi wierny i do Tatarów, którzy, wedle wiadomości, w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucyę królewską czekają“.

— Quod attinet pana marszałka (mówił biskup krakowski) ambicya jego już tem nasycona będzie, iż pierwszy króla w swoim starostwie Spiskiem przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolni; jeżeli zaś

zechce wiernością nad wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicyi, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłyne, zawsze majestat znaczne korzyści stąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się najsluszniejszem; uchwalono więc, że król przez góry do Lubowli, a stamtąd do Lwowa, lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łączycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysyłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi decyzję zostawić, a to dlatego, aby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zostali przestrzeżeni. Stało tylko na tem, że król wyruszy w trzysta koni wybranej dragonii, pod wodzą pana Tyzenhauza, który, choć młody, miał już reputację wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną zgodą zawotowano, iż po przybyciu do kraju, cała władza i kierunek wojny przejdzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkim posłuszni być mają. Mówiono też o przyszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które, jako potop, w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytne sponiewieranie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokiem milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywałe dotąd w niej zmiany, któreby mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza od dawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Pływały więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa, jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako kwiaty otwierają się słońcu.

— Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuję — mówił prymas — ale przeciw onej swawoli, która własnymi rękoma, własną ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicy między wolnością i swawolą i to, jak

zbytńia rozkosz boleścią, tak wyuzdana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż oblędu doszliście obywatele tej prześwietnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałasy czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz nie płatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakaż to wolność, która jednemu przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego, nie jest niewolą dla wszystkich? I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakież to ona smakowite frukta wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktoryi odnieśli, teraz „sicut fulgur exit ab occidente et poret usque ad orientem“. Nikt mu się nie oparł, zdrajcy heretycy mu pomogli i wszystko posiadał, wiarę przesładuje, kościoły hańbi i gdy mu o wolnościach naszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto, na co wam wyszły wasze sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola, wasze konfundowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, naprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeśli nie ten, który tyle zdrowia i wczasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z Kozakami poszarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę podawał, jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem, jak prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemu to teraz się powierzmy, jemu, Rzymian starożytnych przykładem, dyktaturę w ręce oddajmy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli, nieładu i bez-

karności ratować, a powagę rządu i majestatu należytą przywrócić!...

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słuchaczów, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmocniona, albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacye, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieźć, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która od dawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczypospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tam zaś, zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

— Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędkie sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyspieszyć może.

— Pewnie — rzekł pan Ługowski — jeśli taka waszej królewskiej mości wola, to i poco zwłóczyć? Im prędzej, tem lepiej!

— Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi — dodał pułkownik Wolf.

— Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł — rzekł Kmicic.

— Jak to? — spytał król.

— Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie codzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królewska mość już w drodze, albo już inter regna. Dlatego trzeba jak największą ostrożność zachować i cichaczem wawozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

— Najlepsza ostrożność — rzekł, patrząc na Kmicica pan Tyzenhauz — to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie

pan miłościwy komendę nad niemi powierza, to go przeprowadzę w zdrowiu, choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

— Przeprowadzisz waszmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset, albo i tysiąc ludzi napotkasz, ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhająca, to co się stanie?

— Powiedziałem: trzysta — odparł Tyzenhauz — bo się o trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

— Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tem o niej głośniej! — rzekł Kmicic.

— Ba! Myślę przecie, że pan marszałek koronny wyskoczy nam ze swemi chorągwiami na spotkanie? — wtrącił król.

— Pan marszałek nie wyskoczy — odpowiedział Kmicic — bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zająć, jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć..

— Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy! — rzekł król. — Widać waszmości wojna nie obca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej możnaby przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekazem do Kmicica:

— Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej?

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwiał źrenice w Tyzenhauzie i rzekł:

— Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tem łatwiej się przemknie.

— Więc jak ma być?

— Miłościwy panie! — rzekł Kmicic. — Wolna waszej królewskiej mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhaus naprzód z dragonią ruszy,

głosząc umyślnie, że króla prowadzi, aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby z matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej królewskiej mości w dzień, albo we dwa za nim ruszymy i gdy baczność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubowli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

— Bóg nam zesłał tego żołnierzyka! — wołał. — Salomon mądrzejby nie poradził! Całkiem votum za tem zdaniem daję i niema inaczej być! Będą króla między dragonami łapać, a król im pod nosem przejedzie. Dla Boga, nie może być nic lepszego!

— Mości królu! to krotochwila!... — zawołał Tyzenhauz.

— Żołnierska krotochwila! — odrzekł król. — Wreszcie niech będzie, co chce, ja od tego nie odstąpię!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhauz porwał się z siedzenia.

— Miłościwy panie! — rzekł — zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

— A to czemu? — spytał król.

— Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pójdiesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twojej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i poledz w potrzebie.

— Dziękuję za szczerą intencję — odrzekł Jan Kazimierz — ale uspokójże się, bo właśnie w taki sposób, jaki radzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

— Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tem, byś wasza królewska mość bez obrony w górach się zabłąkał... Ja Boga i tu obecnych towarzyszków na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicie porwał się i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

— Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

— Nie sięgaj do mnie głową, mopanku, bo nie dosięgniesz!

A na to Kmicie już z błyskawicami w oczach:

— Nie wiadomo, komu to byłoby za wysoko, gdyby..

— Gdyby co? — spytał, patrząc na niego bystro Tyzenhauz.

— Sięgałem do wyższych, niż waszmość!

Tyzenhauz rozśmiał się.

— A gdzieś ich waszmość szukał?

— Zamilknijcie — rzekł nagle król, zmarszczywszy brwi. — Nie rozpoczynać mi tutaj swarów!..

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmieszali się, wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

— Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wy dostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co, jak widzę, nie jest, bo ptaka z pierza, a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król zwrócił się do Tyzenhauza). Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denhoff poprowadzi. Ale i Babiniez zostanie i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

— Umywam ręce! — rzekł Tyzenhauz.

— Zachowajcie tylko waszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza.. i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi.. A na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny.. Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonii.

Tyzenhauz wyszedł, ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej, że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało,

że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opola i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś, jako rękodajny królewski, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyruszeniu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa, bo i Marya Ludwika była obecna.

— Przeszedłem po rozkazy — rzekł — kiedy wyruszamy?

— Pojutrze do dnia — rzekł król.

— Siła ludzi ma jechać?

— Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzy. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał ze sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nunceusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu Kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęconej osoby na hazard wyprawić. Ty pilnuj, aby nie było nad czterdzieści koni, bo tak Babinicz radził.

— Miłościwy panie! — rzekł Tyzenhauz.

— A czego jeszcze chcesz?

— Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już... dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkadziesiątu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza królewska mość przychyli się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy i niech nie ufa ze wszystkim temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski waszej królewskiej mości, ale...

— Zali mu już zazdrościsz? — przerwał król.

— Nie zazdroszczę mu, miłościwy panie, nie chcę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysięgłbym, że nie nazywa się Babinicz... Czemu tedy prawdziwe nazwisko ukrywa? Czemu jakoś mu nie sporo mówić, co robił przed obłożeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na

to, by dragoni naprzód wyszli i by wasza kr. mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

— Gdyby chodziło o jakąś znowę ze Szwedami — rzekł wreszcie — co znaczy trzysta dragonów! Jakaż to siła i jaka zastępa?... Potrzebowaliby ów Babinicz dać znać Szwedom, by z kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas, jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby naprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pójdziemy za jego racyami, bo mogliśmy tak samo pójść za twemi, albo innych... Z początku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby chciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racye. A przytem nie upierał się on wcale przy swoim zdaniu, jak mówisz, jeno tak gadał, jako i inni, co mu się najlepszem wydało. Nie, nie! Szczeroseć patrzy z oczu tego szlachcica, a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

— Jego królewska mość ma słusznosc — rzekła nagle królowa — to są niezbite racye, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzeczy, to próżnoby od niego do króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też teraz młodemu panu o to tylko, by król potrzebne ostrożności zachował.

— Nie moja rzecz — odpowiedział — miłosciwemu państwu negocować. Jeśli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tem, aż w godzinę wyjazdu.

— To może być! — odparł król.

— A w drodze już ja sam będę go miał na oku i broń Boże przygody, nie ujdzie żyw z moich rąk!

— Nie będzie potrzeby — rzekła królowa. — Słuchaj

waszmość: króla od złej przygody w drodze i od zrad i od sidła nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, ani Babinicz, ani dragoni, ani moce ziemskie, ale Opatrzność Boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców Bożych jest zwrócone. Ona to go będzie pilnować. Ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi, a w razie potrzeby ześle mu taką pomoc, jakiej się nawet nie domyślacie, wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

— Najjaśniejsza pani! — odrzekł Tyzenhauz — wierzę i ja, że bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewską osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Marya Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

— Ale zbyt spieszenie posądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym, jako ten sam Babinicz mówił, nie znalazł się jeszcze taki, coby przeciw własnemu królowi dłoń podniósł... Niechże ci to nie będzie dziwno, że po takim opuszczeniu, po takim złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwym królem doświadczyli, ja przecie mówię, że na tak straszny występki niktby się nie odważył, nawet z tych, którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

— A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

— List nieprawdę mówi! — rzekła stanowczo królowa. — Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej, gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden księżę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

— Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza — rzekł król — gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Moznaby go zresztą wybać, ale jak mu to i powiedzieć?... Jak go spytać: „jeśli nie zwiesz się Babinicz, to jak się zwiesz?” Srodze może uczciwego człeka zaboć takie pytanie, a głowę stawię, że on uczciwy.

— Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwy panie, o jego uczciwości przekonywać.

— Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modliwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenhauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia rozpoczął w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie, nawet i w kościele, ale za to u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomnienie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Marya Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych i gdy w ciemnościach jeszcze dzwon głogowskiego kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

ROZDZIAŁ III.

Przez Raciborz przejechano, koniom tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytnej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnem przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować. Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi i nuncyusz odważył się dzielić z nim trudy niebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Oderbergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilkanaście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli, bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomyślniejszą poczytywali wróżbę, a którego współczesni historycy nie omieszkali nawet w kronikach zapisać. Oto przy samem wyruszeniu króla z Głogowy, pojawiła się przed koniem biała całkiem pta-

szyna i poczęła krążyć, wzbijać się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przytem i świegocąc radośnie.

Wspominano, że podobny ptak, ale czarny, kręcił się nad królem, gdy w swoim czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała, całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki podobna, co obudziło tem większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dni o niczem innem nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w rękę i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką ze sobą prowadził i wogóle przesadzano do bajecznych rozmiarów liczbę dragonów. Byli i tacy, którzy widzieli z dzieśięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi, chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

— Pewnie — mówiono — Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, nie wiadomo.

— A co? — pytał Tyzenhauza król — nie miał Babinicz racyi?

— Jeszcześmy nie stanęli w Lubowli, miłościwy panie — odpowiedział młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał się zwykle naprzód przed orszakim królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi, zabawiając króla opowiadaniem pojedynczych wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć. I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak, wesół, dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekiustem, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy, spo-

dziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, któremi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swej naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal i od ciężkiej pracy do rozrywek, którym, gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czem który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, bawili króla swemi ogromnemi i niezgrabnemi postawami i łamaniem podków, jako trzciny, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto, bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i „parafanały“ królowej poszły na wojsko.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i chwycił go w lot za rękojeść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

— Widziałem — mówił — jak to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny, czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

— U nas to we zwyczaju na Litwie — odpowiadał pan Andrzej — a gdy się człek z dzieciństwa wprawia, to i do biegłości dojdzie.

— Skądże masz tę kresę przez gębę! — spytał pewnego razu król, pokazując na bliznę Kmicica. — Dobrze cię ktoś szablą przejechał.

— To nie od szabli, miłościwy panie, jeno od kuli. Strzelono do mnie, lufę do gęby przyłożywszy.

— Nieprzyjaciel, czyli swój?

— Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę i póki się to nie stanie, mówić mi się o tem nie godzi.

— Takież to zawzięty?

— Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbą mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy Kmicie, zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką brózdę, której białawe brzegi widne były doskonale.

— Nie wstyd mi tej rany — rzekł — bo mi ją zadał taki mistrz, jak niemasz drugiego w Rzeczypospolitej.

— Którénże to jest taki mistrz?

— Pan Wołodyjowski.

— Dla Boga! Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielej to kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło, jako największego rycerza. Gruby szlachcie, a tak krotochwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

— To pan Zagłoba, zgaduję! — rzekł Kmicie — człek to nie tylko mężny, ale dziwnych forteli pełen.

— Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

— Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasępił się.

— I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

— On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął!

— O, to gođny żołnierz! — odrzekł król. — Od pana Sapięhy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obległ. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, jużby ów nieprzyjaciel szwedzki pozostaował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyssał całą rozmowę, spytał nagle:

— Toś waśc był w Kiejdanach u Radziwiłta?

Kmicie zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

— Byłem — odrzekł.

— Daj pokój obuszkowi — mówił dalej pan Tyzenhauz. — A cóżeś to porabiał na ksiązęcym dworze?

— Gościem byłem — odrzekł niecierpliwie Kmicie — i ksiązęcy chleb jadłem, póki mi nie obrzydł po zdradzie.

— A czemuś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

— Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tem łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez septentrionów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i emokać, aż to zwróciło uwagę króla, tak, że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś zniecierpliwiony, zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

— Mój mości panie! Czemu to ja się waćpana nie wy-
pytuje, gdzieś przebywał i coś robił?

— Wypytuj waść — odrzekł Tyzenhauz. — Ja nie mam
nie do ukrywania.

— Ja też nie stoję przed sądem, a jeśli stanę kiedy, to
nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym
zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy, wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalął
na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie
myślał już o niczem innem, jak tylko o tem, czy Babinicz
uchwyci go w lot, czy nie uchwyci...

Babinicz spiął konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz rzekł do króla:

— Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic po-
doba!...

— A mnie coraz więcej! — rzekł, wydymając usta król.

— Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go puł-
kownikiem, a on tylko spojrział groźnie i zaraz tamtego skon-
fundował. W tem coś jest!

— I mnie się czasem widzi — rzekł król — że on nie
chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

— Nie, miłościwy panie — zawołał gwałtownie Tyzen-
hauz — to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rze-
czypospolitej... Bo jeśli to jaki przedawczyk, który zgubę
waszej królewskiej mości, albo niewolę gotuje, to zginą razem
z waszą królewską mością wszysey ci, którzy w tej chwili
oreż podnoszą, zginie cała Rzeczpospolita, którą ty jeden,
miłościwy panie, ratować możesz.

— To go jutro sam wypytam.

— Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nie dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut, a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król się zafrasował.

Nazajutrz skoro dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

— Gdzieś ty był pułkownikiem? — spytał król nagle.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kmicie walczył sam ze sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia, upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicie, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże on, posądzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, biskupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Czem zdoła swych szczerych intencji dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów, może złożyć?...

Dawne winy ścigały go ciągle i nieubłagane, jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił milczeć.

Ale uczuł jednocześnie niewypowiedziany wstręt i obrzydzenie do wykrętów. Zali miałby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucić piasek w oczy i wymyślonymi historyjami go zwodzić?

Czuł, że do tego zbraknie mu sił.

Więc po chwili tak mówić począł:

— Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niezadługo, że będę mógł waszej królewskiej mości całą duszę, jako księdzu na spowiedzi, otworzyć... Ale chcę, żeby pierwej za mnie, za moją szczerą intencją, za wierność i za miłość do

majestatu uczynki jakowe, nie gołe słowa zaręczyły. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojezyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w którejby poprawę łatwo znaleźć... Kto wreszcie nie grzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żeś ciężiej zawinił od innych, ale się też i pierwej obejrzał... Nie pytaj, miłościwy panie, o nic, póki cię terażniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi do zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna Królowa nasza, żeś tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowym za ciebie oddać..

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerłość i żal rozświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

— Bóg patrzy na intencje moje — mówił dalej — i na sądzie mi je policzy... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodal, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć, choć i bez zawołania i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie, uwierzysz, żeś nie zdrajca, ale jeden z takich sług, jakich nie masz, miłościwy panie, wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

— Ja ci i dziś wierzę — rzekł król. — Zostań po staremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

— Dziękuję waszej królewskiej mości! — rzekł Kmicic.

I powstrzymałszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi, skutkiem czego wszyscy poczuli zezem na Kmicica spoglądać. Głośniejsze rozmowy ustawały, gdy się zbliżył, a poczynały się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania, nie miał już dla niego tak wesołego, jak dawniej, oblicza. Więc młody

junak stracił fantazyę, sposepniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie, między pierwszymi, zwykł był toczyć koniem, teraz włókł się o kilkaset kroków za kalwakatą, z głową spuszczoną i ponuremi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jeźdźcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły od nich okrutne, póki nie zagasły w mrokach, cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicie na owe cuda natury, których dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział i choć wielce stroskany, o troskach z podziwu zapominał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle, jakoby bramy, otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już nie daleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

— Człeku — spytał Tyzenhauz — a czy my to już w Polsce?

— Tam on za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

— Którędy zaś do Żywca?

— Prosto tędy do drogi się dostaniecie.

I góral zaciął szkapinę, Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodal orszaku.

— Miłościwy panie — zakrzyknął z uniesieniem — stałaś już inter regna, bo oto twoje już od onej rzeczulki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, by mu konia podtrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiadli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem w śnieg

i począł całować tę ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski, schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastąpiła cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się, niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skryśniężne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały oną dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły hospodynie!.

Mrok już nasyczał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wawozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednym miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać Ave Maria, a za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzima, dawno niewidziana, góry, pokrywane się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jochali w milczeniu, król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

— Pojedziem ku tym zorzom — rzekł wreszcie król — dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycewałował Kmicic.

— Miłościwy panie! to pożar! — zakrzyknął.

Zatrzymali się wszyscy.

— Jakże to? — pytał król — mnie się widzi, że to zorze!...

— Pożar, pożar! Ja się nie mylę! — wołał pan Kmicic.

I istotnie ze wszystkich towarzyszków królewskich, on znał się na tem najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż ponad ową mniemaną zorzą podniosły się jakby chmury czerwone i kłębiły się, jaśniejąc i ciemniejąc naprzemian.

— To chyba Żywiec się pali! — zawołał król. — Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczało przed orszakiem.

— Stój! stój! — począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

— Ludzie! kto wy? — pytano dalej z orszaku.

— To swoi! — ozwało się kilka głosów. — Swoi! My z Żywca gardła unosim: Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!...

— Stójcie, na Boga!... co gadacie?... Skąd oni się tam wzięli?

— Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go Matka Boska ma w swojej opiece!...

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

— Ot, co jechać w małej kupie! — krzyknął na Kmicica — bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających:

— A gdzie król? — spytał.

— Król poszedł w góry z wielkiem wojskiem i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigli i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i palą, mordują...

— Jedźcie z Bogiem ludzie! — rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

— Ot, coby nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! — zawołał Kmicic.

— Miłościwy królu! — ozwał się ksiądz biskup Gębicki — nieprzyjaciel przed nami... Co nam uczynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swemi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spo-

glądał na lunę, która odbijała się w jego źrenicach i milczał; nikt też pierwszy nie wrywał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

— Gdym wyjeżdżał z ojczyzny, świeciła mi luna — rzekł wreszcie Jan Kazimierz — gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastąpiło milczenie, tylko dłuższe jeszcze, niż poprzednio.

— Kto ma jakową radę? — spytał nakoniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

— Kto się nie wahał osoby pańskiej na szwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli!

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z kola; był to Kmicie.

— Dobrze! — rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

— Kiemlicze, za mną!

To rzekłszy, puścił konia w cwał, a za nim trzech jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczony wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

— To zmowa! — rzekł — zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się, póki czas, bo i wawóz wkrótce nieprzyjaciel zamknie! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

— Wracajmy, wracajmy! — zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwił się, z ócz poczęły isić mu błyskawice, nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

— Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiął konia ostrogami, by ruszyć naprzód, lecz sam nuncyusz pochwycił za lejce.

— Wasza kr. mość — rzekł z powagą — losy ojczyzny

i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać.

— Nie wolno! — powtórzyli biskupi.

— Nie wrócę na Śląsk, tak mi dopomóż święty Krzyż! — odpowiedział Jan Kazimierz.

— Miłościwy panie! wysłuchaj prośb twych poddanych! — rzekł, składając ręce kasztelan sandomierski. — Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawrócimy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujemy, albo przejdźmy nazad ów wąwóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tam czekać będziemy. W razie nadejścia nieprzyjaciela, w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas, jako w pułapce, nie zamkną.

— Niechże i tak będzie! — rzekł łagodniej król. — Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tedy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie napróżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie do wód, że o nas nie wiedzą i że zdrady, ani zmywy nijakiej nie było. Weźcie waszmościowie to na rozum, jesteście ludzie doświadczeni. Nie zaczepialiby ci Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ni razu, gdyby mieli wiadomość, że z dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babiniec ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy, król nawrócił konia ku wąwozowi, za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał. Upłynął kwadrans, poczem pół godziny i godzina.

— Czy uważacie, wasze dostojności — ozwał się nagle wojewoda łęczycki — iż luna zmniejsza się?

— Gaśnie, gaśnie prawie w oczach! — odrzekło kilka głosów.

— To dobry znak! — zauważył król.

— Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi — ozwał się Tyzenhauz. — O staję stąd staniemy i gdyby Szwedzi

nadciągali, to ich zatrzymamy na sobie, dopóki nie polegniem. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

— Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! — rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! Każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojedę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknawszy kilkunastu żołnierzy, którym można było zaufać w każdej potrzebie, ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę — i stali cicho, z gotowemi rusznicami, nadstawiając uszu na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie, nakoniec doleciał ich chrzęst śniegu, tratowanego kopytami.

— Jada! — szepnął jeden z żołnierzy.

— Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słyhać! — odpowiedział drugi. — Pan Babiniec wraca!

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

— Werdo? — zakrzyknął Tyzenhauz.

— Swoi! Nie strzelać tam! — zabrzmiał głos Kmicica.

W tejsze chwili on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i nie poznawszy go w ciemności, spytał:

— A gdzie król?

— Tam opodal, za wąwozem! — odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

— Kto mówi, bo nie można rozeznąć?

— Tyzenhauz! A co to takiego wielkiego wiesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy, ukazał na jakiś ciemny kształt, zwieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przejechał mimo. Dotarłszy do orszaku królewskiego, rozeznął osobę króla, bo za wąwozem daleko było jaśniej i zawołał:

— Miłościwy panie, wolna droga!

— Nie masz już w Żywcu Szwedów?

— Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział

najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj!

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

— Co to jest? — pytał zdumiony król.

— To? Rajtar!

— Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł? Jakże to? powiadaj!

— Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo mu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszyczna.

Król ręce do głowy podniósł.

— Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją. Imajnujcie waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogę choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

— Pytaj go, miłościwy panie — odpowiedział nie bez pewnej chępliwości w głosie Kmicie — choć nie wiem, czy będzie mógł odpowiadać, bo trochę przyduszon, a niemasz tu, czemu go przypiec.

— Wlecie mu gorzałki w gardło — rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomogło od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wówczas pan Kmicie, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiedzieć całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wzięwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, skąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

— Zali w górach niema innych oddziałów szwedzkich? — pytał po niemiecku Kmicie, pociskając nieco silniej gardło rajtara.

— Może są jakowe — odpowiedział przerywanym głosem rajtar — generał Duglas porozysłał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wąwozach na nie napada.

— A w pobliżu Żywca wyście jedni byli?

— My jedni.

— I wiecie, że król polski już przejechał?

— Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

— Czemuście go nie ścigali?

— Baliśmy się góralów.

Tu Kmicie ozwał się znów po polsku:

— Miłościwy panie! Droga wolna, a i nocleg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona...

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

— Albo to jest żołnierz wielki i szczerzy, jak złoto, albo zdrajca, kuty na cztery nogi... Zważ wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara aż do jego zeznań. A jeśli to umyślne? Jeśli Szwedzi siedzą przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie, jako w matnię?...

— Bezpieczniej się przekonać — odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz zwrócił się do króla i rzekł głośno:

— Pozwól miłościwy panie, żebym ja naprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

— Niechże tak będzie! Pozwól miłościwy panie, niech jedzie! — zawołał Kmicie.

— Jedź — rzekł król — ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim zwolna.

Król odzyskał dobry humor i wesołość i po niejakiem czasie rzekł do Kmicica:

— Ale to z tobą możnaby, jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz!

— Tak to i było — odrzekł pan Andrzej. — Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów.

— Powiadaj, jakieś go ucapił?

— To nie trudno, miłościwy panie! Zwyczajnie, gdy pulk dździe, zawsze kilkunastu ludzi z tyłu się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się i nim się opamiętał, jużem go porwał, głowę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

— Mówiłeś, że ci to nie pierwszozna. Zaliżeś to już kiedy pierwszej praktykował?

Kmicie rozśmiał się.

— Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem i to i co lepszego! Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, dognam ich, bo konie mają zdrożone i jeszcze jednego ucapię i Kiemliczom moim każę ucapić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

— Mości królu! — rzekł — droga wolna i nocleg zamówiony.

— A nie mówiłem? — zawołał Jan Kazimierz. — Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, bo nam się spoczynek należy!

Wszyscy ruszyli rysią, rażno, wesoło i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyzenhauz zbliżył się do Kmicica.

— Wybacz waszmość — rzekł — z miłości to do pana cię podejrzywałem.

Lecz Kmicie umknął mu ręki.

— O, nie może być! — odrzekł — Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

— Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił — rzekł Tyzenhauz — ale gdym się przekonał, żeś uczynny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij — nie chcesz, nie przyjmuj... Wolalbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacyi się nie przestraszę.

— Tak waszmość myślisz?... Hm! może masz i słusność, ale mi na waćpana mrućno.

— To przestań mrućno... Tęgi z waszmości żołnierz!

No! a dawajno gęby, byśmy się w nienawiści spać nie układli.

— Niechże i tak będzie! — rzekł Kmicic.
I padli sobie w objęcia.

ROZDZIAŁ IV.

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonem niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanii. Tam Kmicic rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Śląska udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Stamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, stamtąd do Nowego Targu i gdyby się okazało, że niema podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć aż do Lubowli. Spodziewał się też król, że sam marszałek wielki koronny, który rozporządzał tak znacznymi siłami, jakich nie miał niejeden książę panujący, poubezpiecza drogi i sam naprzeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieścić szyki tylko to, że nie wiedział, którądy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało, albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nietrudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli się z gór. Generał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozprószył

ch wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrnie w labirynt gór zapędziły.

I teraz wieść o przejeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem, jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swemi „ciupagami“, choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej chwili tysiącami półdzikich „gazdów“, lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozbrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy, że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na tego spotkanie, więc wolał ciągnąć niepoznany, nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy, sobie tylko znami „pyrciami“, przez miejsca tak niedostępne, że — rzekłobyś — i pfałk nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białymi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omiędowano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę, bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej poczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w załymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i uręczał, że takimi drogami się przebijając, pewno równie szczęśliwie, jak niespodzianie do Lubowli się dostaną.

— Pan marszałek ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniem! — powtarzał ciągle.

A nuncyusz odpowiadał:

— Czemże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

— Im wyżej się wzniesiem, tem szwedzka fortuna upadnie niżej — twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, że może to być niemiecka rajtarya pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, poczytano za nieprzyjacielskie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztynie była załoga biskupa krakowskiego, podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a stamtąd ciągnąć samą granicą do ziemi Spiskiej; inni radzili zaraz wykrećć do Węgier, które tu klinem aż po Nowy Targ dochodziły i znowu przedzierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znajdujących.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w ten sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnem i zresztą króla bawiła ta „orłowa“ droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę, jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w rękę je prowadzić, a i to nieraz opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach. Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę

kalną, długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchyłały się, tworząc mniej strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptactwo, popocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

— Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodal, potem krawędzie sikława, za sikławą pyrć do traktu idzie. Tam nawróćmy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było od razu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron. — Nic nie słychać!..

— Bo tam śnieg leży. Na rany Boskie. Już są blisko!... Zaraz się ukażą!...

— Może pana marszałka ludzie? — rzekł król.

Kmicie w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! — rzekł.

Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem, lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nim leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicie spojrział... i dusza zatrzęsa się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostawało tylko przebić się, lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady!

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicie.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicie zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym klusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w który przebrał się, wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczuli cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyspieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący oddziałem wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co to za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicie najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami i nie odrzekłszy ani słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos pana Andrzeja:

— Bij!

I jako skała oderwana od opoki, tocząc się w przepaść druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt.

Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęki.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed straszonym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się złożą, próżno sztychów nadstawiają, tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicie zdał konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zboczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekle, jak błyskawice szybkie. I nadludzkimi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa; dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądło wysuwa i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncyusz, jako pod Żywcem, tak i teraz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król. — Na Boga! Przejeździem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza, że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego! — krzyczał z rozpaczą —

tamci zaraz polegna!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie!... wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczom, dla ciasnoty miejsca, mała tylko liczba ludzi mogła od razu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się, jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. „Jeszcze choć jednego!“ — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę, lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako po pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniej i szybiej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze ezas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi, jak wichur, ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhaus zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa Tyzenhauzowska garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blisko trzysta koni liczącemu! Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby, lub niewoli.

Jan Kazimierz, wołając widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów

i posunął się szybko za Tyzenhauzem. Nagle stanął, jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia wzruszyła się z posad, jak gdyby bór, rosnący w górze, chciał wziąć udział w walce i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów o pancerze.

Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną.

A kamienie i złomy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłagane na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w okrągłe skórzane kapelusze, za nimi wychyliły się ciała i kilkaset dziwnych postaci zaczęło spuszczać się w dół po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęły się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękiem dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncyusz ze zdumieniem patrzył na tych nieznanym sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry owce, ubroczonych krwią i potrzęsających dymiącymi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów podkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie, Maryo, król!” Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemią, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi, z obawy o królewską osobę, musieli zbytni zapalać hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec i lży wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie i skinął ręką, że chce mówić, a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będę!

— Amen — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli

w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakimś wojskiem, między którym miał się i sam król znajdować. Wówczas to postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć zawczasu psubratów.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Babinieza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... I tego to człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

— Zawiniłem, miłościwy panie! — ozwał się Tyzenhauz.

— Szukać go, szukać! — wołał król. — Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnám.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte; pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiżdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk:

— Dla Boga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicie odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczem otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu

doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta. Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego usta wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

— Babinicz, Babinicz! Czem cię nagrodzę!? — wołał król.

— Jam nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! — szepnął rycerz. To rzekłszy, zwiśł jak martwy na rękach żołnierzy.

ROZDZIAŁ V.

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słyhać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie, po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechał wśród pieśni góralskich i okrzyków: „Król jedzie! Król jedzie!“ a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu, zbrojnego w cepy, kosy, widły i strzelby, tak, że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału, ludzi niewyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przełać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc „gazdów“ i pół-dzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać i szlachta z pod Nowego i Starogo Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Woyniłłowicza zbił przy samem mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli, lub potopili się w Kamiennej i Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporczyki, zaczem sam Woyniłłowicz z pułkiem wojewody béaławskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a z dawna sobie znajomego rycerza i wśród ogólnego zapału ludu i wojska jechał

z nim dalej na Spiż. Tymczasem skoczyli, co tchu w koniach, jezdni dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncyusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Śląska wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył, nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościołowi nad heretykami przyniesie. Biskupi podzielali jego radość, dygnitarze świeccy twierdzili, że cały naród od Karpat do Bałtyku, tak samo, jak owe tłumy, za broń chwyci. Woyniłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słychać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmia się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zameczki opuszczają i palą, do potężniejszych chroniąc się fortec.

— Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna — mówił — Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej królewskiej mości porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siłą naciął, ledwie nie wszystkich zniósł... Ja z pomocą Bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktoryę, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicyan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odplaciło.

— Za jakich dragonów? — spytał król.

— A za tych, których wasza królewska mość ze Śląska przed sobą wysłał. Szwedzi z nienacka ich napadli i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy mało nie pomarli z desperacyi, bośmy myśleli, że się wasza królewska mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje i baliśmy się, żeby jakowa zła przygoda majestatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszą królewską mość do wysłania przodem

dragonii. Zaraz się o niej Szwedzi zwiedzieli i wszędy drogi pozajmowali.

— Słyszysz, Tyzenhauz? — pytał król. — Żołnierz to doświadczony mówi.

— Słyszę, miłościwy panie — odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Woyniłłowicza:

— A co więcej? Co więcej? powiadaj!

— Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszycki Lindorma z zamku pileckiego wysadził, Danków się obronił, Lanckorona w naszych rękach, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem codzień w siłę rośnie. Gorzej już Szwedzi w zamku, a z nimi razem zgorzeje i księżę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już z pod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tem okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim, kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko Szwedom formować, w czem i pana Sapięhy jest ręka i pana kasztelana kijowskiego.

— To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem?

— Tak jest, wasza królewska mość! Ale dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

— Głośno o nim będzie — rzekł król — nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

— Tak i ja myślę, miłościwy panie — odrzekł Woyniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak, że błękitu nie plamiła żadna chmurka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie roztaczały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura zdawała się do pana uśmiechać.

— Miła ojczyzno! — rzekł król — bodajem ci mógł spokój przywrócić, nim kości moje w twej ziemi spoczna.

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego

nizina. Tam ujrzeni w dole i w wielkiem oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

— Wojska pana marszałka idą! — zawołał Woyniłłowicz.

— Jeżeli nie Szwedzi? — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier z południa ciągnąć. Widzę już husarskie proporceyki.

Jakoż po chwili, z sinawej oddali wysunął się las włóczni, barwne proporce chwiała się, jakby kwiaty wiatrem poruszane; powyżej groty lśniły się nakształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny; dosłyszano go z dala, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporceyków, poczęła poruszać się szybciej, widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

— Ostańmy tu, na tem wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem — rzekł król.

Orszak zatrzymał się; jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skręty drogi, lub maluśkie pagórki i skały, rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom, jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej.

Nakoniec dotarli o ćwierć staj od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło ich już doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc naprzód chorągiew husarska, pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnem wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górską: ludzie dobrani, chłop w chłopu, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane, ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy krągłe z żelaznymi nausznikami, grzebieniaste na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyzny wilcze, wedle zwyczaju.

Las zielonych z czarnem proporceyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela jan-

czarska z dzwołkami, litaurami, kotłami i piszczałkami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakutych.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husaryą następował znak lekki, jeszcze liczniejszy, z gołemi szablami w rękę i łukami na plecach; potem trzy sotnie semenów, barwnych, jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonii w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubowli bawiących, czeladź strojna, jak na wesele, trabanci, hajducy, pajucey, węgrzynkowie i janczarowie, do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to, jak tęcza, a nadjeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnow, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. Wkońcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa szeregi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na białym, jak mleko, koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on, jak wichur, ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy, kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stającemu tam królowi.

Czapkę zdjął i zasadziwszy ją na rękojeść szabli, szedł z gołą głową, podpierając się obuszkiem, całym perłami krytym. Ubrany był po polsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancierz ze złotej blachy, gęsto po brzegach kamieniami wysadzany, a polerowany tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delia barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur, zaczepiony o agrafy brylantowe, któremi cała delia była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiała mu się u czapki, a one klejnoty migotały, jako skry różnokolorowe, naokół całej jego postaci i oczy émił, takie od niego były blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę

miął podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kosmy na czole ułożoną, wąs czarny, jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu stronach ust spadający. Wyniosłe czoło, rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwona obwódka okolone. Wielka powaga, ale przytem niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było w istocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się w poprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a w ogóle zdolności jego, lubo niepospolite, nie szły w parze z ambycją i chęcią znaczenia. Stąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, stąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od straszego Janusza Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczem; Janusz pragnął korony i świadomie szedł do niej przez groby i ruinę ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednym z takich mężów, których niepowodzenie do rządu zbrodniarzy strąca, powodzenie do rządu półbogów wynosi; Lubomirski był to wielki warchoł, który prace dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy, popsuć był zawsze gotów, nie w zamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w złocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasycona była dostatecznie.

On to przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi: on go pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyznać, od niego król i kraj wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkie oczy były zwrócone. Więc gdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiało jej, wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiary i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać. Jakoż doszedłszy do wpół wzgórza, na którym stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł, kłaniając się, śnieg jej brylantowem trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widząc to pan marszałek, skoczył, strzemięcia swemi dostojnymi rękoma potrzymać i w tej chwili, szarpnąwszy za delię, zerwał ją z pleców i za przykładem angielskiego dworaka, rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go, jak brata, w objęcia.

Przez chwilę nie obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem wojsko, szlachta, lud i tysiące czapek wyleciało w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubowli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęśły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół, obijać się o ciemne ściany borów, o skały i urwiska i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

— Panie marszałku — rzekł król — tobie restauracyę królestwa będziem zawdzięczać!

— Miłościwy panie! — odpowiedział Lubomirski — fortunę moją, życie, krew, wszystko składam u nogi waszej królewskiej mości!

— Vivat! Vivat Joanes Casimirus rex!... — grzmiąły okrzyki.

— Niech żyje król, ojciec nasz! — wołali górale.

Tymczasem panowie, jadący z królem, otoczyli marszałka, lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych po-

witaniach, król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic gościnności i czei dla majestatu, chwycił za lejce i sam idąc pieszo, prowadził króla wśród szeregów wojsk i głośzących okrzyków, aż do pozłocistej, zaprzęzonej w ośm tarantów karety, do której majestat pański siadł wraz z nuncyuszem papieskim Widonem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, poczem ruszono zwolna ku Lubowli. Pan marszałek jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska, śpiewając pieśń, brzmiając w następnych słowach:

Sieczże Szwedów, siecz,
Wyostrzywszy miecz.

Bijże Szwedów, bij,
Wziąwszy tęgi kij.

Walże Szwedów, wal,
Wbijaj ich na pal.

Męczże Szwedów, męcz,
I jak możesz dręcz.

Łupże Szwedów, łup,
I ze skóry złup.

Tnijże Szwedów, tnij,
To ich będzie mniej.

Topże Szwedów, top,
Jeśliś dobry chłop! *)

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później, tę samą pieśń, zmieniwszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubo-

*) Pieśń tę p. t.: „Przydumek panom Francuzom“ śpiewano pod Mątwanami.

mirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubowli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły, jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krużganek i schody zamkowe wysłane były sukniem czerwonym. W wazach, z Włoch sprowadzonych, paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich, kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów, misternie flamandzkimi rękoma tkanych, statui, zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macicą i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubowli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszone, ómiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencję. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał ową intencję król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ścisnął go za głowę, a dziękował. Nuncyusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tem, co widział i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen, że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncyusz Widon, po lewicy książe prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski, dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidyakon krakowski, dalej pieczętarze koronni i wojewodowie, których ośmiu się zebrało i kasztelani i referendarze, a z ofi-

cerów zasiadł do uczty pan Woyniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szurski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczem innem rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka Boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

— A jakże mu tam? — pytał pana marszałka.

— Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przytem i panny z fraucymeru wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! — odpowiedział wesoło marszałek.

— Chwała Bogu! — zawolał król. — Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, żem się przestłyszał, albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

— Byle nie takiego nie było — rzekł -- coby waszą królewską mość zasępić mogło?

— Zgoła nic takiego! — rzekł król — owszem ucieszyło nas to niepomiernie, bo się okazuje, że ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy rację uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął pan marszałek — czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem w. kr. mość między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

— Prawda, prawda! — odpowiedział król — a wy, panie marszałku w pierwszym rzędzie!

— Sługam lichy w. kr. mości!

Przy stole zwolna powstawać począł gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o konjunkturach politycznych, o spo-

dziewanej dotąd napróżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana, powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawdził, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł, że i Kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

— O wszystkim myśleliście, panie marszałku — rzekł król — tak, jak i my sami lepiejbyśmy nie myśleli.

Wtem porwał za kielich i zawołał:

— Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

— Nie może być, miłościwy panie! — krzyknął marszałek — niczyje tu zdrowie nie może być pierwej pite od zdrowia w. kr. mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puhary, zaś Lubomirski rozradowany, spotniały, skinął na swego własnego marszałka-kredencera.

Na ten znak skoczyła służba, rojąca się po sali i poczęła rozlewać na nowo małmazyę, czerpaną złoconemi konwiami ze szczerzo-srebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz-kredencarz przyniósł tymczasem dwa puhary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich drażony i polerowany do cienka może przez lata całe, rzucał iście dyamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota, rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wodza na Kapitol. Jechał więc wódz w rydwanie złocistym, po drodze moszczonem perłkami. Za nim szli jeńcy ze skrepowanemi rękoma; król jakiś w zawoju z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legionieści ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek miaściło się na każdej podstawie, drobnutkich, wzrostem na orzedu

laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwycięzców i pogębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek pucharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencierz jeden taki puchar królowi, drugi panu marszałkowi, oba napełnione małmazją. Wówczas powstałi wszyscy ze swych miejsc, a pan marszałek wznosił puchar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

— Vivat Joannes Casimirus Rex!

— Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta, uczująca w drugiej sali, wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: „Vivat! vivat! vivat!”

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardyaszu było go słychać:

— Ego ultimus!...

To rzekłszy, palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy; król zaś rzekł:

— Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy...

Siła nam na niej zależy!

— Za nic mi skarby i klejnoty! — zawołał marszałek — gdy mam honor w. kr. mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus Rex!

Tu kredencierz podał mu drugi kielich.

— Vivat! vivat! vivat! — brzmiało ciągle i bez ustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko

biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncyusz papieski, nieświadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

— Dla Boga! zdumienie mnie ogarnia. Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich możnaby dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać.

— Tak u nas zawsze — odrzekł, kiwając głową ksiądz biskup poznański — kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczem niemasz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jakskrawa luna uderzyła w okna zamku.

— Co to jest? — spytał król.

— Miłościwy panie! proszę na widowisko! — rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświecony był, jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk, wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdzieniegdzie paliły się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: naprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia: potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwycił. Północ położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

ROZDZIAŁ VI.

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa, nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wężozie gór-

skim tak śmieie na miecze szwedzkie pierś nadstawił i na drugi dzień po przybyciu do Lubowli odwiedził rannego pana Andrzeja. Został go przytomnym i niemal wesółym, choć bladym, jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicie na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

— Miłościwy panie — rzekł — za parę dni już i na koń siądę i z waszą królewską mością, za łaskawem pozwoleniem, dalej pojedę, gdyż sam to czuję, że mi nie jest.

— Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tyłu uderzał.

— Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucya, to grunt... Ej, miłościwy panie! jużby tych szczerb, które na mojej skórze przyschły i na wołowej nie zliczyć. Takie moje szczęście!

— Na szczęście nie narzekaj, bo widać leziesz na oślep tam, gdzie nie tylko szczerby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przed tem popisywał?

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

— Miłościwy panie! Jam to przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili i cena za moją głowę była naznaczona.

— Słuchajno — rzekł nagle król — powiedziałaś mi dziwne słowo w owym wąwozie, alem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty naprawdę nie Babinicz? Wiadomo nam, kto Chowańskiego podchodził!

Nastąpiła chwila milczenia; wreszcie młody rycerz podniósł wynędniałą twarz i rzekł:

— Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przeze mnie mówi, jeno prawda; jam to Chowańskiego szarpał, od której

wojny imię moje w całej Rzeczypospolitej zabłysnęło... Jam jest Andrzej Kmicie, chorąży orszański...

Tu pan Kmicie przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej mówić począł:

— Jam, miłościwy panie, ów bannit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłóty, końskimi kopytami stratowan, podnieść się niemocen, biję się w piersi, powtarzam: „mea culpa! mea culpa!” i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebacz mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącemi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan Kazimierz zaś dłoni wprowadzić nie cofnął, lecz sposepniał i rzekł:

— Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza, żeś w Jasnejgórze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawiał, gotowiśmy winy odpuścić...

— Więc odpuść, miłościwy panie!... Skróć moją mękę!

— Jednego tylko nie mogę ci zapomnieć, żeś wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat, dotąd nieskalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicie, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocen, zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad nim krucyfiks i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącemi gorączką, dysząc szybko, tak mówić począł:

— Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze. Panie mój, jeśli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdy się nie ofiarowałem. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie powstała... Za kró-

lestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił.. Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki.

— Więc księżę zmyślił? — zapytał zdumiony król — dlaczego? poco?

— Tak, miłościwy panie, zmyślił.. To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

— Cóżes mu uczynił?

— Porwałem go z pośród jego dworu, z pośród wszystkiego wojska i chciałem związanego do nóg w. kr. mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

— Dziw, dziw! — rzekł — wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakże to? Januszowi służyłeś, a Bogusława porywałeś, którego mniej zawinił i chciałeś go związanego do mnie przywozić?..

Kmicie chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili bladłość jego i zmęczenie, więc rzekł:

— Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzym ci, oto nasza ręka!

Kmicie przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

— Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie.. Kompanionów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie.. Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pognęło... Wszczęły się hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po drugim, alem sobie z tego nic nie robił, jeszcze dyabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łaszczę przewyższyć, którego wyrokami ferezyę sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

— Bo pokutował i umarł pobożnie — zauważył król.

Kmicie, spoczawszy nieco, tak dalej mówił:

— Tymczasem pan pułkownik Billewicz — wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze — wyżuł znikomą postać i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i córkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela niemało się złupilo i nie tylko, żem zagarniętą przez inkursyę nieprzyjacielską fortunę restaurował, alem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie takie wioski mógłbym kupić i nikogo o chleb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partya mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewczka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi wstyd było wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też do grzechu wrodzoną abominacyę mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagroził i pocziwie żyć począł...

— I poszedłeś za jej radą?

— Gdzietam, miłościwy panie! Chciałem, co prawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Naprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto z dymem puścił...

— Na Boga! Toż to kryminał! — rzekł król.

— Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanionów, godnych kawalerów, chociaż swawolników, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł i ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i patrzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami i opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłucz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partyę i zbrojną ręką ją wziąłem.

— Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

— Hultajska to była sprawa, przyznaję. To też mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjowskiego pokarał, który, zebrawszy ową szlachtę, dziewczkę mi wydarł, a samego usiekł, tak, że

ledwie tam duszy nie wypuścił. Stokroćby to lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzął, ku zgubie majestatu i ojezyny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminal, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem, co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

— On cię osłonił?

— On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycyę hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody, jako deski zbawienia. Wnet postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków, na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkim wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł, jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kisków przypomniał i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów, na wszystko gotowych, a ja, prostak, jako na lep lażłem. Nim jego zamysły wyszły na wierzch, kazał mi na krucyfkisie przysiądz, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami, albo ze septentrionami chodzi, przysiągłem chętnie. Ale nastąpiła owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułkownicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

— Aiboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... — rzekł ze smutkiem król.

— Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie. Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem palono, bo i dziewczka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz mnie zdrajcą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysiągł, jam przysiągł nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla w. kr. mości nikomu nie da się wyprzedzić!

— Boże jej błogosław! — rzekł król. — Za to ją Kocham!

— Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy na nie poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jał przekonywać. Wyluszczył mi, jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet i nie potrafię powtórzyć jego racyi, tak były wielkie, taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby przekonał, a cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, on, taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, zem się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, tylko on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

— Widzę, że to tak jest! — zauważył Jan Kazimierz.

— Posługi oddałem mu znaczne — mówił ponuro Kmiecic — i to mogę rzec, że gdyby nie ja, toby i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablachby go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty i lekkie znaki, już jego szkotów na szable brali, gdym ja skoczył z mymi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie, na konsystencyach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucją wywiódł, aby się z panem Sapiehą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie, ale co przedtem dobrych żołnierzków zginęło za moją przyczyną — Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaje.. Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwycił i żyć nie chciał. Ledwie z jego rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy księżę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancję natarczywie wnosił. Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi

gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo niemasz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Nakoniec mnie z listami wyprawili...

— Dziw, jak ważne rzeczy mówisz — rzekł król. — Przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który pars magna fuit, jak się to tam odbyło...

— Prawda, że pars magna fui — odpowiedział Kmjecie. — Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiskach napotkałem księcia Bogusława. Bodaż go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich się przyłożę, aby go za oną potwarz pomsta moja nie minęła! Nie tylko, że mu się z niczem nie ofiarowałem, miłościwy panie, nie tylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawrócił, naga całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.

— Powiadaj żywo, jak to było, bo nam tu przedstawiano, jakoby księżę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

— On, miłościwy panie? On gorszy od Janusza, a w czyjej się głowie naprzód zdrada wylęła? Czy nie on pierwszy księcia hetmana kusił, koronę mu ukazując? Bóg to na sądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i bono publico się zastaniał, Bogusław zaś, wzięwszy mnie za arcy-szelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać, co mi rzekł... „Rzeczpospolitą waszą (powiada) dyabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nie tylko do ratunku ręki nie przyłożym, lecz jeszcze ciągnąć będziemy, by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkksiążęcą wdzieję, z tego się córką ożeniwszy“.

Król zasłonił sobie oczy.

— Męko Pana naszego! — rzekł. — Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

— Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodęm na łeb lał,

by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trzasł. Sam się roboty własnej przeląknęłam. Nie wiedziałem, co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem, jak dziki zwierzę, bo w taką matnię mnie zapędzono!... Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem... Bóg nagle dał mi myśl: poszedłem z kilku ludźmi do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieźć, by się do nich i do służby w. kr. mości wkupić za cenę jego głowy.

— Wszystko ci przebaczam! — krzyknął król — bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?...

— Przy pierwszej stacyi wyrwał mi króciwą z za pasa... i w gębę strzelił... Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć; ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

— I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

— I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała.. Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablachby mnie roznieśli... Wszelako, wiedząc, że książę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniótł, a teraz oni jego zmoogli i w oblężeniu, jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę ześle, amen!

— Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewno — rzekł król. — Cóżes dalej robił?

— Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów, w. kr. mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Ktoby Kmicica

przyjął? ktoby mu uwierzył? ktoby go zdrajcą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał i całą Rzeczpospolitę przejechawszy, do Częstochowy się dostałem. Czylim tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tem, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważyła, albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i do serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy, prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam bannit, jam zdrajca, jam krzywoprysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... i Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łzy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się z płaczu, a król, ojciec dobrotliwy, chwycił go za głowę, począł całować w czoło i pocieszać:

— Jędreku! takiś mi miły, jako syn rodzony... Com ci mówił? Żeś zgrzeszył w zaślepieniu, a iluż grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy zmazał. Uspokój się, Jędreku! Niejeden radby się takimi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy! Przystań lamentować.

— Bóg niech w. kr. mości da wszystko dobre za takową kompasję! — mówił ze łzami rycerz. — Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamym świecie za oną przysięgę, Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział, na co przysięgam, zawsze przysięga przysięgą.

— Nie potępi cię Bóg za nią — odrzekł król — bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

— Myślę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, choć nie był pewien, czy mnie i czyścić minie. Ciężka to rzecz z jakie sto lat się prażyć... No! ale niechby tam już! Siła człek zniesie,

gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przytem i modlitwy mogą coś wskórać i mękę skrócić.

— Jeno się nie troskaj! — rzecze Jan Kazimierz. — Wyrobię ja to u samego nuncyusza, by mszę na twoją intencyę odprawił... Przy takich promocyach nie stanie ci się wielka krzywda. Ufaj w miłosierdzie Boże!

Kmicie uśmiechnął się już przez łzy.

— Jeszcze też! — rzekł — da Bóg, do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wylusknie, a przez to nie tylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputacyę poprawi.

— Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną wcale się nie turbuj. Ja w tem, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, ową materję każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

— Bo to, mój miłościwy panie i ojeze, niech się jenó uspokoi trochę, albo i przedtem jeszcze, sądy mnie będą szarpały, od czego mnie i powaga w. kr. mości osłonić nie zdoła. Ale już mniejsza z tem!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... Jenó mi o tę dziewczkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiało się bez niej i przez nią, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem, jako z niedźwiedziem, się boryka, na nic to bo taki syn, nie puszcza!

Jan Kazimierz rozśmiał się wesoło i dobrotliwie.

— Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

— Któż poradzi, jeśli nie w. kr. mość?! Zabita to regalistka z tej dziewczki i nigdy mi ona moich kiejdańskich uczynków nie daruje, chybabyś w. kr. mość sam instancy wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i d służby majestatu i ojczyzny powrócił, nie przymuszon, chlebami żadnymi nie skaptowan, ale z własnej woli i skruchy

— Jeślić o to chodzi, to i ja instancy wniozę, a jeśli ona taka regalistka, jako powiadasz, to i instancya powinna

być skuteczna. Byle tylko dziewczka wolna była i byle ją zła jakowa przygoda, jak to w czasie wojennym często się trafia, nie spotkała...

— Anieli ją ustrzegą!

— Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: będą teraz na gwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie ciąży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego, jako Kmicicowi, ale dam ci list, jako Babinielowi; będziesz zaciągał i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie, boś widać żołnierz ognisty i doświadczony... Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazyę do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zaczniesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babinielowem przezwiał.. Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejiesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler. Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Niemało i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

— Miłościwy panie!.. Czym ja na tyle łaski zasłużył?

— Więcej, niż =niejeden, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalista, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicie, choć chory, zerwał się nagle z łóżka i padł, jak długi, do nóg królewskich.

— Na Boga! co czynisz? — zawołał król. — Krew cię ujdzie! Jędre!.. Bywaj-no tu kto!

Wpadł sam marszałek, który od dawna już po zamku króla szukał.

— Święty Jerzy! patronie mój, co widzę?! — krzyk-

nał, spostrzegłszy króla, dźwigającego własnymi rękoma Kmicica.

— To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił — rzekł król. — Pomóście, panie marszałku, dźwignąć mi go na łożo.

ROZDZIAŁ VII.

Z Lubowli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dygnitarzy i senatorów, wraz z nadwornymi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbrojna i żołnierze, to pojedynczo, to kupami i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególną ku Szwedom pałającą zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny poczęto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały, datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego; drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego: oba wzywające szlachtę w województwie krakowskiem do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić; niestawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie trzeba było gróźb, albowiem zapal niezmierny ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje; niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noc i dnie całe bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwno jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami

i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami; pochód jego był do niezmiernego tryumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nie tylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczech, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród, tem wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał i w uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupiałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już też i coraz głośniejsz mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego mieli stanąć: stary hetman wielki, Rewera Potocki i polny Lanckoroński, wojewoda ruski i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski i księżę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na ród ściągnął Janusz, zatrzeć pragnący i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski i wielu innych senatorów i urzędników ziemskich i wojskowych i szlachty.

Listy latały codzien pomiędzy owymi panami, a panem marszałkiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż nakoniec rozebrzmiała wieść już pewna, że hetmani, a z nimi wojsko, porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacya Tyszowiecka.

Król także pierwaj o niej wiedział, bo oboje z królową, choć zdala będąc, nie mało się nad jej zawiązaniem przez posły i listy napracowali; jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału, niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru wyglądał. Jakoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywołąc mu zapewnienia służb i wierności od konfederatów i akt związku do roborowania.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami

i senatorami. Serca wszystkich napełniały się radością, dusze uniosły się w podzięcie do Boga, bo owa wiekopomna konfederacya zwiastowała nie tylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najezdnik powiedzieć, że niemasz w nim wiary, ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tych cnót, któremi stoją państwa i narody.

Świadectwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacyi i jej uniwersału. Przywodziło w nim wiarołomstwo Karola Gustawa, łamanie przyściąg i obietnic, okrucieństwa generałów i żołnierzy, przez najdziksze narody nawet niepraktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej i wypowiedano wojnę na śmierć i życie skandynawskim najezdnikom. Uniwersał, groźny jak trąba archaniola, zwoływał popolite ruszenie nie tylko rycerstwa, ale i wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. „Nawet infames, wszyscy (mówił uniwersał), banniti i proscripti iść na tę wojnę powinni“. Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, wedle możności i sił.

„Ponieważ w tem państwie aequae bona i mala do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwa wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy niższego i wyższego urodzenia, szlachtą będąc, ad omnes prerogativas urzędów, dostojęństw i dobrodziejstw ojczystych jesteśmy capaces, tak w tem aequales sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i beneficiorum zarówno osobami swemi pójdziemy...“

Tak to ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy z dawna się już w sercach z myślą naprawy Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnem, że i naród do onej naprawy dojrzał,

że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzę i pleśń z siebie i nowe, wspaniałe rozpocząć życie.

„Otwieramy przytem (brzmiał uniwersał) benemerendi in Republica plac każdemu plebejæ conditionis, ukazujemy i ofiarujemy wedle tego związku naszego okazyę przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i beneficiorum, któremi gaudet stan szlachecki...“

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć, przecierpieć i nałamać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czemś podobnem odezwać się będzie bezpiecznie, tymczasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe prerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała na roścież wrota szarym gromadom kmiecym.

Wstał ksiązę prymas, owiany jakoby duchem proroczym i rzekł:

— Iżeście owo punctum zamieścili, potomni tę konfederacyę po wiek wieków wysławiać będą, a gdy kto zechce czasy owe za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Książd Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką, trzęsącą się ze wzruszenia, żegnał akt i postów.

— Już widzę nieprzyjaciela, ze wstydem z tych ziem uchodzącego! — rzekł król.

— Daj Boże najprędzej!... — zakrzyknęli obaj wysłańcy.

— Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa — ozwał się znów król — gdzie zaraz ową konfederacyę roborować będziemy, a przytem i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemódz nie zdołają.

Spojrzeli na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jaką to potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bardziej; wziął znowu akt do ręki i znów czytał i uśmiechał się, nagle rzekł:

— Siła też było oponentów?

— Miłościwiu panie — odpowiedział pan Domaszewski —

unanimitate ta konfederacya powstała za przyczyną ichmość panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie sprzeciwił, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojezyczny i majestatu zapłonęli.

— Z góryśmy przytem uradzili — dodał pan Służewski — że to niema być sejm, jeno pluralitas ma stanowić, więc niczyje veto nie mogło sprawy popsować, jeno opoenta bylibyśmy na szablach roznieśli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onem liberum veto skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

— Złote słowa waszmości! — rzekł ksiądz prymas. — Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nie ustraszy nas żaden nieprzyjaciel.

— A gdzie jest wojewoda witebski? — spytał król.

— Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocin, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory musiał go już dostać żywego, albo umarłego.

— Także był pewien, że go dostanie?

— Tak był pewien, jako że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy, już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznaczną, a posiłki z nikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapieha w Tyszowcach tak: „Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa, niż Radziwiłł, gdyż jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi“.

— Chwała Bogu! — rzekł król. — A gdzie pan Czarniecki?

— Tyle się do niego szlachty, co najstuszniejszych kawalerów sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzieby teraz był, nie wiemy.

— A ichmość panowie hetmani?

— Ichmość panowie hetmani pilno czekają rozkazów w. kr. mości, obaj zaś radzą nad przyszłą wojną i z panem

starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem codzień pułki ku nim razem ze śniegiem wala.

— Także to wszyscy Szweda porzucają?

— Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska paña Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radziby już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic, ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz recedere, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczyty i jego pieszczoty i mruganie oczami i rąk klaskanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

— Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści — rzekł król. — Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszcześniejszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentynie.

— Nie daj Bóg, aby się to stało! — rzekł.

— Jak to? — spytał ze zdumieniem król.

— Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

— Bodaj waści! — rzekł rozweselony pan. — To mi fantazya!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać w tyle za panem Domaszewskim, zawołał:

— Jako żywo, niema na to zgody i pierwszy veto położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziemy!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie:

— Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogosław, ale powoli, powoli! Jeszczeć ten nieprzyjaciel w granicach!

— Nie długo mu już! — zakrzyknęli obaj konfederaci.

— Duch się odmienił i fortuna się odmieni — rzekł osłabionym głosem ksiądz Gębicki.

— Wina! — zawołał król. — Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, leż z pacholkami, którzy je wnieśli, wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

— Miłościwy panie, przyjechał pan Krzyżtoporski z Częstochowy i pragnie się w. kr. mości pokłonić.

— Dawaj go żywcem! — zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący jak kozioł z pode łba. Skłonił się naprzód panu do nóg, potem dość hardo dygnitarzom i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział król. — Co tam słyhać?

— Mróz okrutny, miłościwy panie, aże powieki do jagód przymarzają!

— Dla Boga! o Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! — zawołał Jan Kazimierz.

— A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową niema! — odrzekł rubasznie pan Krzyżtoporski.

— Doszły już nas te wieści, doszły — odparł uradowany król — ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

— Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszej Panny...

— Nie tu granica Jej łask! — rzekł król, wznosząc oczy ku niebu — jeno zasłużmy na dalsze...

— Siła w życiu widziałem — odpowiedział Krzyżtoporski — ale takich widomych cudów nie widziałem, o czem dokładniejszą relację zdaje w. kr. mości ks. Kordecki w tem piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzyżtoporski podawał i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i począł się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnemi uczuciami; nakoniec podniósł znów oczy na Krzyżtoporskiego:

— Pisze mi ksiądz Kordecki — rzekł — iżeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolu-brynę szwedzką prochami rozsadził?

— Onże się za wszystkich ofiarował, miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje i Bóg wie, co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali oplakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężkoby nam było dać sobie rady..

— Jeśli tak, to przestańcie go oplakiwać: pan Babinicz żywie i jest u nas. On to pierwszy dał nam znać, że Szwedzi, nie mogąc nic przeciw mocy Boskiej wskórać, o odstąpieniu zamyślają.. A potem tak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

— O, to się ksiądz Kordecki ucieszy! — zawołał z radością szlachcic — ale jeśli pan Babinicz żywie, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jako on jego miłował! A i mnie pozwoli w. kr. mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta niemasz w Rzeczypospolitej!

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał:

— Co słyszę! To jeszcze raz po ustąpieniu próbowali klasztor podejść?

— Müller, jak odszedł, tak się i nie pokazał więcej; jeno Wrzeszczowicz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na niego rzuciło, że zaraz sromotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w gołym polu jeździe stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy do szczętu go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

— Patrzcie, wasze uprzejmości, jako nędzni oracze w obro-nie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

— Że stawają, miłościwy panie, to stawają! — zawołał Krzyżtoporski. — Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi

muszą się kupami trzymać, a złapeli chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwia, że lepiejby mu od razu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psubratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

— Od tego czasu nie będą w tej ziemi ucisku znosić ci, którzy krwią się oponują — odrzekł poważnie król — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Amen! — dodał prymas.

Tymczasem Krzyżtoporski uderzył się ręką w czoło:

— Mróz mi mentem pomieszał, miłościwy panie — rzekł — bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł, jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzyżtoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy „takim synem“, więc dodał zmieszany:

— Nie zacyjny stan, lecz zdrajcę chciałem spostonować.

Ale nikt tego wyraźnie nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

— Jużesmy dawno pana Jana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej chwili może już i ksiązę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

— Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materyi pragnę zasięgnąć zdania waszych mościów.

ROZDZIAŁ VIII.

W chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem Bożym, mówił, jakoby duchem proroczym, bo w onym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski, Sapięha, tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyszowiec wyjechał, poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić, czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów, tak mówił:

— Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileńskiego na szablach roznieść. Owóż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, abym dostawszy go, nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasji, bo jej zdrajca nie wart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd postawić, aby dla potomnych był stąd przykład, że ni wielkość rodu, ni żadne urzędy, zdrady takowej i winy odkupić, ani przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mowcę, lubił przy każdej okazji obszernie się wysławiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencyach oczy.

— To muszę sobie chyba dobrze prawą rękę w wodzie wymoczyć — odparł na to pan Zagłoba — gdyż okrutnie mnie swędzi... Wszelako to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnieby z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto w znacznej części to sprawił, że go wojska opuściły; wie dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale za to ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niżli on byłby dla mnie?

— Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz! — odrzekł z powagą wojewoda.

— Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmieie też to mówię, że gdyby Radziwiłł

mnie posłuchał, gdym go do obrony ojezyny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

— Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

— Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom ją sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, Johannes Casimirus, ma tylko mój wybór potwierdzić, nie więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotchwile.

— Panie bracie — rzekł — tyś zgnębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja zasługa. Pozwólże mnie teraz jechać spokojnie do Tyszowiec, aby też i Sapieha mógł w czemś przysłużyć się ojezynie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; nakoniec okiem łysnął, głową kiwnął i rzekł z powagą:

— Jedź, wasza miłość, spokojnie.

— Bóg zapłać za permisję! — odpowiedział, śmiejąc się wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcję, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodyjowskiego, rzekł:

— Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcyę powierzam.

— Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! — odrzekł mały rycerz.

— Panie Michale — rzekł do niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody — ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapję, by Radziwiłła dostawszy, nie żywił?...

— Skąd mam wiedzieć! — odrzekł mały pan.

— Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszeptnie. Prawda

jest! Ale muszą to być znaczne jakieś persony, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

— Może sam król?

— Król? Króla, gdyby pies ukąsił, zarazby mu przebaczył i jeszczeby mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

— Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadali, że na Radziejewskiego bardzo się zawziął?

— Naprzód, każdemu przytrafi się zawziąć; exemplum: moja na Radziwiłła zawziętość, powtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszyby nie był! Złote to serce i mniemam, że prędzej to królowa jejmość przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instancję wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazyja, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zawźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą stamtąd wydlubie.

Na to westchnął pan Wołodyjowski i odparł:

— Za coby się tam która miała na mnie zawzinać, skoro żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

— Ale radbyś, ale radbyś! Dlatego to, choć w jeździe służyysz, tak zapamiętała na mury tykocińskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nie tylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? Jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

— Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił i sam Kmicie, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem po kawalersku sobie postąpił, nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzję w niepamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresy ratować, to będę w tem widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczyć nie potrzebuję, bom mu w niczem nie powinien, a żywie we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając, doszli do kwatery, w której zastali

dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoczy.

Nie tajno było w wojsku, poco pan wojewoda witebski pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

— Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje — rzekł pan Stanisław — a chwalić Boga, Szwedom w oczy.

— Od Częstochowy on powiał — odrzekł na to pan Jan. — Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmy odpiera... Nie daj Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!...

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

— Bo oprócz obrazy boskiej, ileby to zacnych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Jak człek o tem pomyśli, to mu i strawa przez gardło nie chce przechodzić.

— Wojsko aż się do szturmowania rwie, że trudno ludzi utrzymać — rzekł pan Michał. — Wczoraj stankiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

— Bo i poco nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba. — Upór to pana Sapielhy, nie więcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać, jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zameczynę oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich niemasz.

— Eksperyencya wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

— Aha! co? Mam głowę na karku?

— Wuj ma głowę na karku! — zawołał nagle pan Roch i nastroszywszy wąsy, począł oglądać po obecnych, jakby szukając takiego, coby mu zaprzeczył.

— Ale i pan wojewoda ma głowę — odrzekł pan Jan

Skrzetuski — i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego, że jest obawa, żeby książę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

— To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich — rzekł Zagłoba — skrzyknąć kupę ludu na ochotnika między gminem. Sambym pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

— W zimę piwo na nie, chyba grzane — rzekł pan Michał.

— To dajcie wina, albo gorzałki lub miodu — odpowiedział Zagłoba.

Inni również okazali ochotę, więc pan dzierżawca z Wąsoczy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca i rycerze poczęli do siebie przepijać coraz to na inne intencje wnosząc kielichy.

— Na pohybel pludrakom, aby nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! — rzekł pan Zagłoba — niech sobie szyszki w Szwecyi żrą!

— Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! — wniósł Skrzetuski.

— I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! — dodał Wołodyjowski.

— Zatem nasze zdrowie!

— Zdrowie wuja! — huknął pan Roch.

— Bóg zapłać! W twoje ręce, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkim zestarzał! Mości panowie! abyśmy coprędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

— Pod Częstochowę! — krzyknął Roch — Pannie Najświętszej w sukurs!

— Pod Częstochowę! — zawołali wszyscy.

— Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! — dodał Rzędzian.

— Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą koloryzować, a w rzeczy, jakem to już po-

wiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tem cała ich wiara polega.

— I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

— W sednoś waszmość utrafił, mówiąc o ich wierze — rzekł Wołodyjowski do Zagłoby — bo ja sam słyszałem, jak do miesiąca wyli. Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają...

— Jakże to? — rzekł pan Roch — samiż między nimi tacy synowie?

— Niemasz innych! — rzekł z głębokiem przekonaniem pan Zagłoba.

— I król ich nie lepszy?

— Król ich gorszy od wszystkich. On to tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze do woli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły i rzekł:

— Jeżeli tak, tedy jako mnie waszmościowie widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla szwedzkiego skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nie to! Moja śmierć, albo jego!... a taki kopią się do niego złożę... Miejcie mnie waćpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy, złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przytem potłukł szklanice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

— Siadaj Rochu i daj spokój. Wiedz i o tem, że nie dopiero cię będziemy za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, gdy to uczynisz. Nie rozumiem też, jak się będziesz mógł kopią złożyć do króla szwedzkiego, w husarzy nie służąc.

— To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec mnie też wspomozę.

— Ojciec Roch?

— A jakże!

— Niechże cię pierwej wspomozę, a teraz szkła nie robijaj, bo pierwszybym ci za to głowę rozbił. O czemżeśmy

to mówili mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... Luctus mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy!... Luctus mnie stoczy, mówię wam. A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez racyę fizykę sapieżyńską.

— Waćpan na wojewodę nic nie mów! Zacny pan! — czwał się mały rycerz.

— To czemu obydwoma połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blizko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niezadługo w całej okolicy i sadze w kominach wyliżą, bo co było na kominach, to już zjedli.

— Nam w racye starszych nie wchodzić, jeno słuchać!

— Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyżenał, gdyby nie ona nieszczęsna modestya, która mi kazala buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swoim kunktatorstwem da spokój i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

— Jeno po napiciu się taki z waści rezolut! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie, komu wola ze mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, ten niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej korony i Matkę naszą z pod opresyi i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

— Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Naj-

świętszą Panną ma kompasę, za mną!... W sukurs Częstochowie!

— Idę! — zawołał, wstając Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milezące twarze, zlął z ławy i rzekł:

— Nauczę ja Sapja rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska z pod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

— Dla Boga! Pomiarkuj się ojciec! — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Szelmą jestem! mówię ci! — powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś zlekli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero, gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej, jak Zagłoba. Przedewszystkiem większa część wojsk sapieżyńskich składała się z nowozaciężnych, a zatem do dyscypliny wojennej nie przywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobą, jak jeden człowiek.

Więc przelekli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

— Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakowaś siła na obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siłaby Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej imprezie!

— Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! — odparł Zagłoba.

— Wuj tak uczyni! — dodał Roch Kowalski.

— Cicho ty koński łbie! — huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się od razu.

Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

— A ja szelmą jestem — rzekł — jeżeli jeden człowiek

z mego pulku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy ci powiem, że pierwszy na twoich wolentarzów uderzę!

— Poganinie, Turku bezeccny! — rzekł na to Zagłoba. — Jakże to, na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotówes? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko, albo o dyscyplinę chodzi? Nie! jeno Billewiczównę za murami tykocińskimi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najsluszniejszej racyi odstąpić! Radbyś na dziewczynę fyrkał i z nogi na nogę przestępywał, a jurzył się! Ale nic z tego! Moja głowa w tem, że tam cię lepsi ubiegą, choćby ten sam Kmicie, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrział na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozezulenie:

— Oto mi nagroda! — zawołał — od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci, sam człek, jako kopia do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, za to mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdrają być mienia.

To rzekłszy, jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmiękł od razu i otworzywszy ręce, zawołał:

— Panie Michale! Srodzem cię ukrzywdził! Katu mnie oddać za to, żem takiego wypróbowanego przyjaciela spostonował!

I padłszy sobie w objęcia, poczęli się całować i do piersi wzajem przyciskać, zaczem i pili dalej na zgodę, a gdy już żał znacznie im z serc wyparował, rzekł Wołodyjowski:

— A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

— Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

— A da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie drować, he?

Uderzony tą kwestyą, pan Zagłoba począł koniec węża do ust wkładać i zębami go przygryzać, nakoniec rzekł:
— Nie, panie Michale, kocham cię, jako źrenicę oka, ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

— A to czemu? — pytał zdziwiony pan Wołodyjowski.

— Urodna jest, assentior! — rzekł Zagłoba — ale to persona okazała i żadnej niemasz między wami proporcji. Chybabyś jej na ramieniu siadał, jako kanarek i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię takóŜ, jako kobuza na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociażęś mały, aleś instar szerszenia zjadliwy.

— Już waćpan zaczynasz? — rzekł Wołodyjowski.

— Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: Jedna jest dla ciebie podwika, jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczyk Podbipięta miał się żenić?

— Anusia Borzobohata Krasieńska! — zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. — Toćże to dawny afekt michałowy!..

— Czyste ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka, jako kukielka — rzekł, mlaskając wargami pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać raz po raz i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

— Co się z tem nieboŜątkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

— Jużbyś jej z rąk nie popuścił... I dobrzebyś uczynił, bo przy twojej kochliwości, panie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby kto taki był na afekta łasy. Powinieneś się być kurkiem urodzić, śmiecie pod przyźbami rozgrzebywać i „ko, ko, ko!“ na czubatki wołać.

— Anusia! Anusia! — powtarzał rozmarzony Wołodyjowski. — Bóg by mi ją zesłał!.. Ale może już jej na świecie zgoła niemasz, albo teŜ za mąż poszła i dzieci wodzi...

— Coby miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć doszła, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie, nijako jej

było lada chlYSTka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniaczce myśli.

A pan Michał na to:

— Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw, jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką już ją Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: exemplum ów medyk księżnej Gryzeldy, włoszysko, który się w niej zakochał na umor. Może tam za niego poszła i za morze ją wywiózł...

— Nie powiadaj byle czego, panie Michale! — zawołał z oburzeniem Zagłoba. — Medyk, medyk... Zaśby szlachecka córka, z zacnej krwi, miała pójść za człeka tak podłej kondycyi?... Raz ci to już mówiłem! nie może być!

— I mnie samemu było na nią za to mruć, bom sobie myślał: już też miary niema, skoro i procederników bałamuci.

— Prorokuję ci, że ją jeszcze obaczysz! — rzekł pan Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście porucznika Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku oskierczynym chorągiew nosił.

— Panie pułkowniku — rzekł do Wołodyjowskiego — będziem petardę podsadzać.

— To już pan Oskierka gotów?

— Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

— To dobrze — rzekł Wołodyjowski — pójdziem obaczyć i ludziom też z muszkietami każę stanąć w gotowości, żeby z za bramy nie wypadli. Samże pan Oskierka będzie petardę podsadzał?

— Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie...

— Pójdę i ja! — rzekł Wołodyjowski.

— I my! — zawołali dwaj Skrzetuscy.

— Ot! szkoda, że stare oczy po ciemku nie widzą —

ozwał się pan Zagłoba — bo pewniebym wam samym iść nie dał.. Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi się nie złożyć.. Po dniu, po dniu, przy słońcu, to tam stary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najtęższych Szwedów, byle w południe!

— Ja zaś pójdę — rzekł, namyśliwszy się, dzierzawca z Wąsoczy. — Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturmu skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobroci.

I wyszli wszyscy, bo też się już mroczyło na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Zagłoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gąsioriki i patrzyć pod światło, płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał od strony północnej i dał coraz silniej, wył, huczał, niosąc ze sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

— Dobra noc do podsadzania petardy! — rzekł Wołodujowski.

— Ale i do wycieczki — odrzekł pan Skrzetuski. — Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

— Dałby Bóg — rzekł pan Tokarzewicz — żeby pod Częstochową była jeszcze większa zadymka. Zawsze naszym w murach cieplej.. Ale coby tam Szwedów na strażach pomarzło, toby pomarzło... Trastia ich maty mordowała!..

— Straszna noc! — rzekł pan Stanisław — słyszycie waćpanowie, jak wyje, jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

— Albo jakby dyabli requiem Radziwiłłowi śpiewali — dorzucił pan Wołodujowski.

ROZDZIAŁ IX.

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył także w kilka dni później na zapadający na całuny śnieżne mrok i słuchał

wycia wichru. Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blasków na namioty i drewniane szałasys wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbieiał, naokoło oczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękała, więc wydawała się jeszcze ogromniejszą, ale była to twarz już pół-trupia, naznaczona błękitnymi piętami i straszna, przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego niemal na godziny się już liczyć mogło, przecie żył za długo, bo przeżył nie tylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nie tylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał.

Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy. On, któremu nie dość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem państwa rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim; on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądlivosti, zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć, albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwej wejdzie wziąć jego duszę i przez pół już rozpadające się ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można było nie dawno udzielne królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchał jego rozkazów i wolę jego śmiał naginać do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsł krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim.

Byłby pod niebiosa wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta.

Jako opryszka, Kostkę Napierskiego, oblegano niegdyś w Czorszynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapięha, największy wróg osobisty!

Gdy go dostaną, powloką go na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, kolligaci. Wojska zajęły jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepił przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz czem mdlejących sił odżywić i strach powiedzieć! on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci — był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych, pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydzielał racye, a książę nie chciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Piers jego podnosiła się coraz ciężej, oddech zmieniał się w chrapanie, opuchłe nogi i ręce ziębły, lecz umysł mimo chwilowych obłądów, mimo strasznych mar i wizyi, które przesuwwały mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik-zwycięzca całą klęskę — i cierpienia jego były tak niezmierne, że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego, jako Oresta Eriny, tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie na świecie takowej świątyni, do której mógłby się przed nimi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; дума nie mogła im zdzierżyć, ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tem szarpały go zacieklej. I miewał takie chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli

ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad losem nieszczęsnym, nad jej bólami i krwią przelaną litowały się obce narody — on, hetman wielki litewski, zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić, jak Leonidas, jak Temistokles, zamiast zastawić ostatni kontusz, jak Sapięha, związał się z jednym z nieprzyjaciół i przeciwko matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzką rękę i ubroczył we krwi blizkiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nie tylko hańby, ale i życia, porachunku blizki, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tem myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmałał, a natomiast ta Rzeczpospolita, wstająca z prochu i krwi, wydała mu się jakaś wielka i coraz większa, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem i jako księżę i jako hetman i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, co to jest. Jakieś fale nieznanne wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu, jak on. Lecz czemuż owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwej; czemuż, szalony, porwał się przeciw niej. Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzeczpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że otacza go całkiem inny kraj, inni ludzie. Przez obłożone mury dochodziło wszystko, co się w obłożonej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpoczynała się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom — tem straszniejsza, że przez nikogo nie przewidywana. Rzeczpospolita poczęła karać. Było w tem coś z gniewu Bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o obleżeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwin, zląkł się i przestach już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy, po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które wstawszy, miały pochłoniąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a kara niezawodną. Wtedy po raz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej, kto przeciw niej grzeszył — upadał.

— Więc nie wolno myśleć nikomu — mówił sobie książę — ni o wyniesieniu własnem, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?

Ale dla niego było za późno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał przed sobą przyszłości, chyba pogrobową, na której widok drżał.

Od chwili obleżenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znalazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory zapoznawana i niepojęta siła — gdy nagle rzekłbyś tajemnicza, pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, nowe zwątpienie wżarło się w duszę książęcą, bo nie mógł opędzić się straszny myślom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemiński upadek, duszy upadek, ciemność, nicość — oto do czego doszedł i czego się dosłużył, służąc sobie.

A jednak, jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapięha, nierównie gorszy wódz, bił go wprowadzić w polu, resztki chorągwi go opuszczały, lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orlą radziwiłłowskie, na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich

chorągwi do papieżników nie przejdą, a wówczas zgniotą we dwóch Sapiehę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie łani i samym rykiem odstraszą tych, którzyby im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały; nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dni, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Nakoniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo strasliwemi okrucieństwami poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy mu na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o nim nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

— Bogusławie! Bogusławie! — powtarzał książę, chodząc po tykocińskich komnatach — jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!..

Wreszcie w ostatniej rozpaczy, postanowił książę uczynić krok, na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia krajczego, które przed tygodniem sam otrzymał.

Janusz znalazł w nim ustęp, głoszący co następuje:

„Jeśli w. w. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im w. w. pan mój miłościwy nie wierz, albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwają, a dawne wolności tej prześwietnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo jako słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce

sił rozdzielać, a quod attinet Koniecpolskiego, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by ksiązę wojewoda zgorzał jako najprędzej“.

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Obleżenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielskie zostaną zaniechane, krótko trwała, gdyż przeciwnie, w pułkach pieszych znać było ruchu jakiś niezwyyczajny. Upłynęło jednak kilka dni dość spokojnie, bo zamiar wysadzenia bramy petardą spełził na niczem, lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegającym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli nie szturm, to przynajmniej nowy atak dział na nadwątlone mury.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali, tak zwanej „Rogowej“, położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpy sosnowe, rzucając żywy blask na białe i dość puste ściany. Książę leżał na wznak na tureckiej sofie, wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paż, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowiczowa, niegdyś dozorczytni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paż, medyk a zarazem astrolog książęcy i Charlamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden. Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskimi, w obozie Sapiehy, jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołniersko wychudło z głodu i niewczasów, jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wydawał się jeszcze większy i wąsy, jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancerz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem,

który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził patrzeć, co się dzieje i na których podziem szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć księżę rzeźił straszliwie, jakby konać począł i choć wiatr wył i gwizdał na zewnątrz.

Nagle krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymiem ciemnym Radziwiłła i przestał rzeźić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali i poczęli patrzeć bystro naprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł:

— Jakoby mi kto z piersi zlął: lżej mi...

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, nakoniec ozwał się:

— Charłamp!

— Sługa w. ks. mości.

— A czego tu Stachowicz chce?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabobonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

— Stachowicza tu niemasz. Wasza ks. mość kazała go w Kiejdanach rozstrzelać.

Księżę przymknął oczy i nie odpowiedział ani słowa.

Przez jakiś czas słyhać tylko było żalosne i przeciągłe wycie wichru.

— Płacz ludzki w tym wicherze słyhać — rzekł znów księżę, otwierając całkiem przytomnie oczy. — Ale jam nie prowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiadał, po małej chwili dodał:

— On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jak gdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od niego winniejszy.

Wkrótce jednak inne, cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemniała i powtórzył kilkakrotnie:

— Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzeźić jeszcze straszniej, niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno i można było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

— Biją się! — rzekł medyk książęcy.

Jako zwyczajnie! — odpowiedział Charłamp. — Ludzie marzną w zamieci, to wołają się bić dla zagrzewki.

— Szósty już dzień tego wichru i śniegu — odpowiedział medyk. — Wielkie zmiany przyjdą w tem królestwie, bo niezwyčajna to rzecz!

Na to odrzekł Charłamp:

— Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

— Charłamp!

— Sługa w. ks. mości.

— Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierka parę dni temu chciał petardą bramę wysadzać?

— Chciał, wasza książęca mość, ale Szwedzi petardę porwali i sam nieszkodliwie postrzelon, a sapieżyńscy odbici.

— Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dzień?

— Ostatni grudnia, w. ks. mość.

— Boże bądź miłościw duszy mojej!... Nie dożyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowiadano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

— Bóg łaskaw, w. ks. mość.

— Bóg jest z panem Sapiehą — odpowiedział książę głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

— Zimno na mnie od niej idzie... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

— Kto taki, w. ks. mość?

— Śmierć!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Nastąpiła chwila milczenia, słyhać tylko było szept pacie-rzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

— Powiedźcie — ozwał się książę przerywanym głó-sem — zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

— I w godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewo-kować — odrzekł Charłamp.

Odłósy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęst-sze. Huk dział począł wstrząsać szybami, które za każdym razem odpowiadały żalosnem dźwięczeniem.

Książę słuhał czas jakiś spokojnie, poczem uniósł się z lekka na wezglówiu, zwolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać.

Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzy-knął, jak w obłąkaniu:

— Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charłamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trzął się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, po-czem targnęło coś z okropnym łomotem ścianami, aż głó-wnie i węgle z komina wysypały się na posadzkę, jedno-cześnie Charłamp wpadł z powrotem do sali.

— Sapiażyńscy bramę wysadzili! — krzyknął. — Szwedzi uciekli do wieży!... Nieprzyjaciel tuż!... wasza książęca mość...

Dalsze słowa zamarały mu w ustach. Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłemi na wierzch; otwartemi ustami łapał raz po raz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma dał sofę, na której siedział i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzyczał, a raczej chrapał między jednym odde-chem a drugim:

— To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!... Czego chcecie? Weźcie tę koronę!... To Radziejowski... Ratujcie, ludzie!... Jezus! Jezus! M a r y o!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka, oczy wyszły

mu jeszcze okropniej z oprawy, wyprężył się, padł na wznak i pozostał bez ruchu.

— Skonał! — rzekł medyk.

— Maryi wzywał! słyszeliście, choć kalwin! — ozwała się pani Jakimowiczowa.

— Dorzućcie na ogień! — rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przymknął mu powieki, zaczem zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił i ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odblask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła naprzód okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki huk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zarzysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wichler począł wyć ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzał na trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był pewien, że to hurmaszatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

— Słowo stało się ciałem! — rzekł — to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemym podziw, albo może

w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchają będą.

— Dorzućcie do ognia! — rzekł pacholętom pan Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawem, migotliwym światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się na roścież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyliło się jasno od gołych szabel i coraz to więcej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili niemi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Nakoniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi i krzyknął:

— Gdzie wojewoda wileński?

— Tu! — rzekł Charłamp, ukazując na ciało, leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrział i rzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! nie żyje! — poszedł głos z ust do ust. — Nie żyje zdrajca i przedawczyk!

— Tak jest — rzekł ponuro Charłamp. — Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach rozniesiecie, źle uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonem wzywał i jej konterfekt w ręku dzierży!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły. Natomiast żołnierze poczęli się zbliżać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu niemi w oczy, a on leżał olbrzymi, posepny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy i Horotkiewicz i Jakób Kmicie i Oskierka i pan Zagłoba.

— Prawda jest!... — rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. — Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od Niej na lica pada...

To rzekłszy, zdjął kołpak z głowy. W tej chwili uczynili to wszyscy inni.

Nastąpiło milczenie, pełne szacunku, które przerwał wreszcie Wołodyjowski:

— Ach! — rzekł — już on na sądzie bożym i ludzie nie do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Lecz ty, nieszczęśniku, czemuś to dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

— Dawajcie go sam!... — ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

— Macie mnie, rozsiekajcie! — rzekł. — Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny, jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w mizeryi i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utylłem na tej służbie, bom trzy dni już nie w gębie nie miał i nogi się chwieją pode mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... — tu głos pana Charłampa zadrgał — żem go miłował...

To rzekłszy, zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzycheć począł:

— Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod ręce i wyprowadzono go zaraz z komnaty. Poczem i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać, żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

— Panie Michale! — rzekł.

— A czego?

— Już mnie zawziętość na Radziwiła minęła, co niebo-

szczyk, to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moją nastawał.

— Przed trybunałem on niebieskim! — odrzekł Wołodjowski.

— Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

— Bóg miłosierny!

— Że miłosierny, to miłosierny, aleć i On bez abominacyi na heretyków patrzeć nie może. A to nie tylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadarł głowę i począł spoglądać ku górze.

— Boję się — rzekł po chwili — żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

— Dobrzy pachołkowie! — rzekł z uznaniem pan Michał — woleli zginać, niż się poddać. Mało takich żołnierów na świecie!

Poczem szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

— Billewiczówny w zamku nie było — rzekł.

— A skąd wiesz?

— Pytałem onych paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

— Oj! — rzekł Zagłoba — to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka.

ROZDZIAŁ X.

Lwów od chwili przybycia króla, zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większa część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatorowie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane lauda zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno, z tem

większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok tego pospolitego ruszenia, w niczem albowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawilo nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, naddięgała tu groźna i wojownicza szlachta, z dziećka na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy, przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władnąca szablą, niż łaciną. Świeżo jeszcze wyćwiczyła ją Chmielniczczyna, siedm lat bez przerwy trwająca, tak, że nie było między nimi człowieka, któryby tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni z nad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli na krętych dorzeczach dniestrowych, którzy siedzieli nad roztoczystym Bohem, których pod Siniuchą nie starła z łona ziemi inkursya chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli teraz do Lwiego grodu, aby stamtąd na nieznanego jeszcze nieprzyjaciela pociągnąć. Walila szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, taką nienawiść rozpalila we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś kozactwo nie śmiało stawic przeszkód, bo nawet w najzatwardzialszych poruszyły się serca i zresztą samo było od Tatarów zmuszone bic przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawilo we Lwowie, ofiarując w imieniu chanowem sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej, z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz z pod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legacya z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawil i poseł cesarski, był nuncyusz papieski, który razem z królem przyjechał, codzień nadjeżdżały deputacye od wojsk koronnych i litewskich, od wo-

jewódtw i ziem z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów, tak niedawno zupełnie pogiębiona Rzeczpospolita. Rozpaliły się dusze ludzkie żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śniegi, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nie tylko chciano zwycięstwa, ale wierzone w nie. Coraz to nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Róż wraz opowiadało to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nieznane pułki pod nieznanymi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszącego się, jako szarańcza, przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiała się na wszystkich ustach.

Szczegóły o onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczyście; więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafrowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili Lwowianie swego złotego lwa w błękitnem polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdym ukazaniem się królewskiem, krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów, biskupów, prócz szlachty, napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtymi kapotami mieszczan. Przemysłni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szalasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie i Węgrzyni i Wołosi i Rakuszanie, moc ludu, moc wojska, moc

odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych, barwnych, jaskrawych, a rozmaitych, moc służby dworskiej: więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych Kozaków, laufrów z cudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi komputowych, to oddziałów konnej szlachty, krzyki komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rżenie koni, hurkot armat i śpiewy pełne gróźb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich były nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki: „vivat!“ wstrząsały powietrzem; bito czołem i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nich wierność dla pana i dla ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stopy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytńskiego ścisku pomieścić nie mogli.

Król zaś trawił dnie całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacye ziem i wojsk; obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbcza pieniędzmi; używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą; do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z wojskiem swoim wielkimi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Król uznał, uświęcił i potwierdził konfederacyę Tyszowiecką i sam do niej przystąpił, wzięwszy wodze wszelkich spraw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej, niż własny wczas, niż własne zdrowie ważąc.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań; postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swoim i stanów takie przymierze, któregoby żadna potęga ziemska przemódz nie zdołała, a któreby w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono, że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono o poprawie losów chłopskich i o konfederacyi z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebywałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem i pół regimentu węgierskiego, wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzećmi w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny. Więc naprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistymi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian, w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze, szychterze, płatnerze,

kordybanci, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzkie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyżkowych kapotach, w kozuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopci. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapelniał się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdzać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczały muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncyuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalery i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncyusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stalami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzesel, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzieniegdzie błysnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnice igrają i kłębią się

w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wy dobył ksiądz nuncyusz z cyborium kielich i zbliżył się z nim do kłęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncyusza: „Ecce Agnus Dei“ i król przyjął komunię.

Przez jakiś czas kłęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było sły chać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon doniosłym, tak mówić począł:

„Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacyę czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernichowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w terażniejszym utrapieniu królestwa mego, przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...”

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

„A że wielkimi Twemi dobrodziejstwami zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić

wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpa miętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przczysta!“

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skrucha, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

„A że, z wielkim żalem serca mego uznaję dla jęczenia w opresyi ubogiego pospółstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemężonego, od Boga mego sprawiedliwą karą przez siedm lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej, usilnie, ażeby odtąd utrapione pospółstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypelnienia tego, co obiecuję.“

Śluchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozplakane głosy powtarzały: „Amen! amen! amen!“ na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczem radość niepojęta, jako czysty płomień, rozpalila się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków „wiktorya! wiktorya! niech żyje!“ jechał do grodu i tam oną niebieską konfederacyę wraz z Tyszowiecką roborował.

ROZDZIAŁ XI.

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać, jako ptactwo skrzydlate, do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więć naprzód konfederacya Tyszowiecka szerzyła się, jak pożar. Kto żyw, przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały wozów, strzelby i piechoty, Żydzi pieniędzy. Nikt nie śmiał się przeciw jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Witemberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tem większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy po Lwowie i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z temi papierami, dość, że wiatr je nosił srodze pohańbione po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach „Witembergową konfuzyę“, śpiewając przytem pieśń, poczynając się od słów:

Witemberku nieboże,
Lepiej zmykaj za morze,
Jak zajac!

Bo gdy sypną się guzy,
To pogubisz rajtuzy,
Zmykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się spiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiając czas na ucztach i radując się w sercu, że tak prześwietnego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnem było, że poczęto o tem

mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy księżę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, twierdzono wszakże, że pan Sapiaha na czele znacznej potęgi wszedł już z Podlasia w województwo lubelskie, żeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Nakoniec od niego samego przybyli posłowie i w znacznej liczbie, bo ni mniej ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycji królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, zabezpieczyć od wszelkiej możliwej przygody jego osobę, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

Przywiózł ów znak młody pułkownik Wołodyjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą i ścisnąwszy za głowę, rzekł:

— Witaj sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodaj, że pod Beresteczkiem widzieliśmy się ostatni raz, całego we krwi unurzanego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

— I w Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

— A służysz ciągle? Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

— Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancya przepadła. Nie mam, gdziebym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę, tak myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

— Bodaj takich więcej! bodaj więcej... Nie panoszyłby się nieprzyjaciel. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?

— Wojewoda wileński na sądzie Bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmego szli.

— Jakże to ono było?

— Oto jest relacya wojewody witebskiego — rzekł pan Michał.

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale zaledwie zaczął, zaraz przerwał:

— Myli się w tem pan Sapieha — rzekł — pisząc, iż wielka litewska buława vacat; nie vacat, bo jemu ją oddaję...

— Niema też nad niego godniejszego — odrzekł pan Michał — i całe wojsko będzie do śmierci w. kr. mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na ową prostoduszną konfidencyę żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

— Mógłby Radziwiłł być największą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich Panie, nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastąpiło milczenie, poczem król zaczął dalej czytać.

— Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie — rzekł, skończywszy — że mi całą chorągiew i największego, jak pisze, kawalera pod rękę przysyła. Ale tu mi bezpiecznie, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu teraz najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeszłę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

— Dość my już wypoczywali pod Tykocinem, miłościwy panie — ozwał się z zapalem mały rycerz — teraz chyba konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będą niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłościwego naszego pana, ale do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł, patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza:

— Tyś to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

— Nie pierwszym rzucił, wasza królewska mość, alem

pierwszy raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

— Nie lża było inaczej!

— Pewnie — rzekł król. — Ciężkie to były czasy na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje granice, za którymi się wina rozpoczyna. Siła tam starszyny przy Radziwille się ostało?

— W Tykocinie znaleźliśmy z oficyjerów jednego tylko pana Charłampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizeryi opuszczać. Kompasya go jeno przy księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu do Lwowa przyjechał, miłosierdzia w. kr. mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek służył i dobry żołnierz.

— Niechże tu przyjdzie — rzekł król.

— Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu, objawić, którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanaeh słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej królewskiej mości attinet.

— Czy nie o Kmicicu?

— Tak jest, miłościwy panie!...

— A ty znałeś Kmicica?

— Znałem i biłem się z nim, ale gdzieby teraz był, tego nie wiem.

— Co o nim myślisz?

— Miłościwy panie, skoro on takiej imprezy się podjął, to niema tych mąk, którychby nie był godzien, bo wyrzutek to z piekła rodem.

— To nieprawda — rzekł król — wszystko to księcia Bogusława wymyśli... Ale położywszy na stronę ową sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

— Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennem niezrównany. Tak jak on Chowańskiego podchodził, że w kilkadziesiąt ludzi do utrapienia całą potencją nieprzyjacielską przywiódł, tegoby nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego który nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wówczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszczeby go tak nie usatysfakcjonował, jak z Kmicica podarek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztućcami jadał, na jego kobierczyku pisał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondemnatami instancją Łaszcza mógł sobie kierejkę podszyć, a już w Kiejdanach całkiem się pograżał.

Tu pan Wołodyjowski powiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach.

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie dobiegł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił narzód siebie, a potem wszystkich kompanionów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

— *Vir incomparabilis! vir incomparabilis!* — powtarzał — jestże on tu z tobą?

— Na rozkazy waszej kr. mości! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Ulissesa ten szlachcic przeszedł! Przeprowadźże mi go do stołu na wesołą chwilę i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

— Z listów, przy Rochu Kowalskim znalezionych, dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierci nas do Birzów porywano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I nieboś, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem.

— Oj! — rzekł król. — To widzę, prędko tam u was w Litwie szło!

— Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, śledził jakowych listów przy sobie niema. Jakoż znalazło się smolno hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby

nie Kmicie, toby nas do Birzów nie wywożono, ale nie mieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

— A widzisz! — wtrącił król.

— Potem tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, co to za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinię, niż o takim wichrze. Przy Radziewille został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż ksiązę z Kiejdan ciągnie. Trudno negować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadał i pojedynczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszezerstwo, co ksiązę Bogusław powiadał...

— Zaraz się to okaże — rzekł król.

I zaklaskał w dłonie.

— Zawołaj tu pana Babinicza — rzekł do pazia, który ukazał się w progu.

Paź zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otwarły się i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał, nie poznając.

— Dziw! — ozwał się wreszcie — gdyby nie chudość gęby i nie to, że w. kr. mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: panie Kmicie!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jednym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł, że się w swym sądzie pomylił i pewien jestem, że mi pan Babinicz poświadczy.

— Miłościwy panie — odparł prędko Babinicz — jedno słowo w. kr. mości lepiej tego hultaja oczyści, niż największe moje przysięgi.

— I głos ten sam — mówił ze wzrastającym zdumie-

niem mały pułkownik — jeno tej blizny przez gębę nie było...

— Mości panie — rzekł na to Kmicie — łeb szlachecki, to rejestr, na którym coraz inna ręka szablą pisze.. Ale jest tu i twoja konotatka, poznajże mnie...

To rzekłszy, schylił podgoloną głowę i wskazał palcem na długą, białawą brózdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

— Moja ręka! — krzyknął pan Wołodyjowski — to Kmicie!

— A ja ci mówię, że ty Kmicieca nie znasz! — wtrącił król.

— Jak to, miłościwy panie?..

— Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socyusza... Ale tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdzu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną piersią zastawił i życie mi ocalił, gdym w wąwozach, jako między stado wilków, dostał się między Szwedów. Taki to ów nowy Kmicie.. Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski zaczął ruszać złotymi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

— I wiedz o tem, że nie tylko on nie księciu Bogusławowi nie obiecywał, ale pierwszy na nim za ich praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

— I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim! — zawołał mały rycerz. — Jakiż anioł tak waszmości nawrócił?..

— Uściskajcie się! — rzekł król.

— Od razum waszmości pokochał! — ozwał się pan Kmicie.

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po raz, wedle swojego zwyczaju, z zadowoleniem wydymał. Kmicie zaś ścisnął tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł, jak kota i nieprędko napowrót na nogi postawił.

Poczem król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza, że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć, aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfederackim oddziałom, uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerze zostali sami.

— Pójdź waszmość pan do mojej kwatery — rzekł Wołodyjowski — znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszą to, co mnie król jegomość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicie przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

— Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? — spytał.

— Ze starszyny jeden Charłamp był przy nim.

— Nie o wojskowych pytam, dla Boga!... a z niewiast?..

— Zgaduję, o co chodzi — odparł, zapłoniwszy się nieco, mały rycerz — pannę Billewiczównę księżę Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica, więc naprzd stało się blade, jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bielsze, niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parskął, chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w piersiach. Następnie chwycił się obu rękoma za skronie i biegając jak szalony po komnacie, jął powtarzać:

— Gorze mnie, gorze, gorze!

— Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relacyę, bo był przy tem — rzekł Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ XII.

Wyszedszy od króla, szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicie nie mógł, bo go ból i wściekłość kasały, przebijali się tedy przez tłumy, które

się były zebrały na ulicach bardzo licznie, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził, Kmicie leciał, jak błędny, za nim, z kołpakiem nasuniętym na oczy, potrącając ludzi po drodze.

Dopiero, gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

— Pomiarkuj się waś!... Desperacją nic nie wskórasz!...

— Ja nie desperuję — odrzekł Kmicie — jeno mi jego krwi potrzeba!

— Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!

— Tem lepiej! — mówił gorączkowo pan Andrzej — ale choćbym go i w kościele znalazł..

— Dla Boga, nie bluźnij! — przerwał coprędzej mały pułkownik.

— Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, poczem pierwszy pan Kmicie spytał:

— Gdzie on teraz jest?

— Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.

— Chodźmy!

— Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicie począł oddychać tak ciężko, jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

— Słabym jeszcze okrutnie — ozwał się.

— Tem większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

— Już raz miałem i ot! co mi po niej zostało.

To rzekłszy, Kmicie ukazał na pręgę w twarzy.

— Powiedzże mi waś, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał?

Pan Kmicie począł opowiadać i choć przytem zębami zgrzytał i aż kołpaczką cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

— Wiedziałem, że waś rezolut — rzekł mały rycerz —

ale żeby Radziwiłła z pośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewał.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierżawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kożuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka i upuściwszy kożuszek, zakrzyknął:

— Jezus, Marya!

— Niech będzie Imię Pańskie pochwalone! — zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wołodyjowski rzekł:

— Przedstawiam waszmościom częstochowskiego Hektora i wiernego sługę królewskiego, któren za wiarę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny pan Michał opowiadać z wielkim zapalem, co od króla o kmicicowych zasługach, a od samego pana Andrzeja o porwaniu księcia Bogusława słyszał i wreszcie tak skończył:

— Nie tylko więc nieprawda to jest, co książę Bogusław o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: niema on większego wroga od pana Kmicica i dlatego pannę Billewiczównę z Kiejdan wywiózł, aby w jakikolwiek sposób zemstę nad nim wyrzucić.

— I nam ten kawaler życie ocalił i konfederackie chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł — zawołał pan Zagłoba. — Wobec takich zasług, za nic dawne grzechy! Dla Boga! dobrze, że z tobą, panie Michale, nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko niemu zawziętość i zanimby zipnęła, wprzódby go byli na szablach roznieśli.

— Witamy waszmości całym sercem, jako brata i przyszłego kammilitona! — rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

— Taki się nigdy nie pogąży! — mówił — z każdej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

— A nie mówiłem wam tego! — wołał pan Zagłoba — jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczęliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pograżon, ale i za jego. Bóg mnie natchnął w Billewiczach, żem go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerłość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian, wyprawił zaraz Tatara z kozuszkami, a sam zakrzętnął się z pacholkiem około napitków.

Lecz pan Kmicie myślał tylko o tem, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jak naprędzej wywiedzieć.

— Byłeś waść przy tem — pytał.

— Prawie, żem się z Kiejdan nie ruszał — odrzekł nosacz. — Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczrę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mrucał z ukontentowania, jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je odmawiał, to chyba dyabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał..

— Zaniechaj! — rzekł pan Wołodujowski — zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

— Przeciwnie! Mów waść, mów! — zawołał Kmicie.

— Gadał tedy przy stole — rzekł Charłamp — iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić i że on sam wolałby wziąć szlachciankę, niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spamiętałem, bo takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawoływał.

— Mniejsza z tem! — rzekł Zagłoba.

— Owóż, widocznie to mówił, aby onę pannę skaptować, co my zrozumiałwszy zaraz, poczęliśmy jeden na drugiego spoglądać i mrugać, słusznie mniemając, że się potrzask na innocencyę gotuje.

— A ona? a ona?!.. — pytał gorączkowo Kmicic.

— Ona, jako to dziewczka z wielkiej krwi i górnej manery, żadnego nie pokazywała ukontentowania, zgoła na niego nie patrząc, dopieroż gdy o waszmość panu mówić ksiązę Bogusław poczał, zaraz w niego utkwiła oczy. Straszna rzecz, co się stało, gdy powiedział, iżes mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić. Myśleliśmy, że dusza z panny wyjdzie, ale cholera na waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abominacyą waszmościne propozycye odrzucił, dopieroż zaczęła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał odprowadzić.

Kmicic oczy dłońmi zatknął.

— Bijże, bij! kto w Boga wierzy! — powtarzał.

Nagle zerwał się z miejsca.

— Bądźcie waszmościewie zdrowi!

— Jakże to? dokąd? — pytał Zagłoba, zastąpiwszy mu drogę.

— Król mi permisyę da, a ja pojedę i znajdę go! — mówił Kmicic.

— Na rany boskie! czekaj waść! Jeszcześ się wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczon, więc obsunął się na ławę i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącymi rękoma i rozlewając płyn na brodę i piersi, wychylił do dna.

— Niemasz tu nic straconego — rzekł Jan Skrzetuski — jeno roztropności trzeba tem większej, ze z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem, a nagłą imprezą, możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

— Wysłuchaj Charłampa do końca — rzekł pan Zagłoba.

Kmicie zacisnął zęby.

— Słucham cierpliwie.

— Czy chętnie panna wyjeżdżała — ozwał się Charlamp — tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu naprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, niema co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na pleć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas, choćby była zameżna, gotów i o to nie dbać.

— Gorze! gorze! — powtórzył Kmicie.

— Szelma! — krzyknął Zagłoba.

— Dziwno mi tylko to, że ją ksiązę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! — rzekł Skrzetuski.

— Ja nie statysta — odrzekł na to Charlamp — więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficyjerowie powiadali, a mianowicie Ganchoff, który wszystkie arcana książęce wiedział. Słyszałem na własne uszy, jak ktoś wykrzyknął przy nim: „Nie pożywi się Kmicie przy naszym młodym księciu!“ — a Ganchoff powiada tak: — Więcej tam polityki w tem wywiezieniu, niż afektu. Żadnej (powiada) ksiązę Bogusław nie daruje, ale byle mu ta panna opór dała, to w Taurogach nie będzie mógł z nią uczynić, jak z innemi; bo hałasyby powstały, tam zaś księżna wojewodzina z córką bawi, na które Bogusław musi się ciągle oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje... Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi...

— Kamień powinien waści spaść z serca! — zawołał pan Zagłoba — bo widać z tego, że nic dziewczce nie grozi.

— To czemu ją wywiózł? — wrzasnął Kmicie.

— Dobrze, że się do mnie udajesz — odpowiedział Zagłoba — bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czem kto inny rokby napróżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie

neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją i dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i możni, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

— Może to być! — rzekł Charłamp. — To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i ad extrema posunąć się nie może.

— Gdzie on teraz jest?

— Książę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach niemasz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

— Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: jeśli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała, albo jeżeli książę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam po co jechać, jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandyi pojedzie, to tam bezpieczniejsza, niż gdziekolwiek i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

— Jeśliś waść taki rezolut, jako powiadają, a jak i ja sam mniemam — wtrącił Skrzetuski — to naprzód ci Bogusława dostać, a mając go w rękę, wszystko otrzymasz.

— Gdzie on teraz jest? — powtórzył Kmicic, zwracając się do Charłampa.

— Jużem waszej mości powiedział — odparł nosacz — ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

— Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! — zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie za-

trzymywali go, wiedząc, że człek strapiiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł:

— Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zalterowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

— I ja! — rzekł Jan Skrzetuski.

— To chodźmy wszyscy! — dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepłe i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi, niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, Wołochów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swymi sklepami, okna domów pełne były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już nadszedł i że niebawem przeciągnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw, chciał widzieć ów czambulik, bo wielka to była osobliwość spoglądać na Tatarów, przejeżdżających spokojnie przez ulice grodu. Inaczej dotąd Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za murami, w postaci chmur nieprzejrzanych, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. To też rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki „Jadą! jadą!“ przebiegały z jednej ulicy na drugą, a wówczas tłumy zbijały się w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

— Ha! — rzekł Zagłoba — przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie z boku, ale wprost w ślepią patrzyli tym skurczybykom. A jaż to i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszły chan kubek w kubek do mnie podobny.. Ale co tam przeszłe zbytki wspominać!

— Jadą! jadą! — rozległo się znów wołanie.

— Bóg serca psu bratów odmienił — mówił dalej Zagłoba — że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w sukurs nam idą.. Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, iż gdyby za

każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, jużbym był kanonizowany i wigilię musielibyście do mnie pościć, albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwan.

— A pamiętasz waćpan, jak to było wonczas, gdyśmy to z nad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

— Jakże nie pamiętam! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcze aż do gościńca pogałem. To, jakśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co kierz, to jedna bestya leżała.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wonczas było wcale nadwrót, ale zrazu nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonął, głosy po raz dziesiąty, czy któryś, poczęły wołać:

— Jada! jada!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadejść. Jakoż z dala ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jeźdźcy.

— Patrzenie! i kapelę mają ze sobą, to u Tatarów niezwyčajna rzecz.

— Bo się chcą jak najlepiej zaprezentować — odrzekł Jan Skrzetuski — ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i poczęli przeciągać mimo. Naprzód jechał na srokatym koniu śniady, jakoby w dymie wędzony Tatar, dwie piszczalki w gębie mający. Ten, przechyliwszy w tył głowę i zamknawszy oczy, przebierał po owych dudkach palcami, wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie, że ucho zaledwie je ułoić mogło. Za nim jechało dwóch, trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne brzękułki i potrząsających nimi jakoby z wściekłością; tuż dalej kilku dźwiękało

przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczałników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przytem zębami i przewracając oczy. Za tą niesforną i dziką muzyką, która przesuwiała się, jak gomon, przed mieszkańcami Lwowa, cłapał po cztery konie w rzędzie cały oddział, złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wyborowy komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan z dobručkih, zatem najtęższych w boju Tatarów, stary i doświadczony wojownik, wielce w ałusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i za ciasną na jego potężną figurę szubę, wytartymi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru siną i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki, albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby nie był zupełnie pewien, czy wytrzymają na widok tłumów, niewiast, dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców.

Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki: „A hu! a hu!“ jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła sobie obiecywali po nich.

— Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoś żołnierze dziwy sobie o nich prawią, od czego terror coraz wzrasta — mówili patrzący na Tatarów.

— I słusznie — odpowiadali inni. — Nie rajtarom to Carolusa z Tatarami wojować, którzy, a zwłaszcza dobrucy i naszej jeździe czasem dotrzymują. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

— Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! — odzywały się głosy.

— Grzech, nie grzech, a taki się przydadzą!

— Bardzo przystojny czambulik! — mówił pan Zagłoba.

Rzeczywiście Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kozuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry; czarne łuki i sahadaki pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przytem szablę, co nie zawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się w ręcznych boju szczęką końską, do kija przywiązaną. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, na pokaz, więc niektórzy mieli nawet i samopały, pochowane w wołokowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach, drobnych wprawdzie, dość chudych i nisko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy juczne; tłum zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tem się mylono, bo chan wołał brać dary, niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

To też gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

— Drogo te auxilia będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale i oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

— Pewnie, że okrutnie to ciężki socyzus — odrzekł Jan Skrzetuski. — Znamy ich już!

— Słyszałem jeszcze w drodze — rzekł pan Michał — że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdego pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej istotnieby ci przyjaciele niebo a ziemię jeno zostawili.

— A tenże czambułek?... Co też król z nim uczyni?

— Do rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie, jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce i pewnie ich panu Czarnieckiemu razem z nami podeszle.

— No! to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.

— Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczęną zbyt kować. Nie może być, tylko i tym zaraz oficjera dodadzą.

— I ten będzie dowodził? A ówże tłusty aga co będzie czynił?

— Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi! bądźcie mi zdrowi! — zakrzyknął nagle Kmicic.

— Dokąd tak spieszno?

— Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

ROZDZIAŁ XIII.

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczał mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę wyruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów z góry wypłacono i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszonej wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku „najmilszemu bratu“, aby i Kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamyślali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystkie koczactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana i obdarzywszy go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyszle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi

przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatara, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i na równi ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu się ustęp chanowego listu, proszący króla, aby czambulikowi dodał dobrze znającego kraj oficera, któryby oddział prowadził, a zarazem ludzi i samego Akbah-Ułana od rabunku i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał.

Wolałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą takiego patrona, lecz że wola chanowa i królewska były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze, kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w duszy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddał i senatorowie odeszli, gdy Kmicic, który przy boku królewskim podczas audyencji się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

— Miłościwy panie! Niegodzien jestem łaski, o którą proszę, ale tyle mi na niej, co właśnie na samym życiu zależy. Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad tymi ordynkami komendę mógł objąć i z nimi zaraz w pole ruszyć.

— Nie odmawiam — rzekł zdziwiony Jan Kazimierz — bo lepszego przywódcy trudnoby mi dla nich znaleźć. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazyi i rezoluta, aby ich w ryzie umiał utrzymać, gdyż inaczej zaraz i naszych zaczną palić, a mordować... Temu się jeno stanowczo przeciwuję, byś jutro miał ruszać, nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi...

— Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu owieje, zaraz słabość mi przejdzie i siła we mnie wstąpi napowrót, a co do Tatarów, to już ja sobie z nimi rady dam i na miękki wosk ich ugniotę.

— Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

— Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już więcej nie wysiedzę, bo czegoś chciałem, to już mam: to jest łaskę

twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego razem z Wołodyjowskim, albo i z osobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

— Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole!

— Jako ojcu wyznam i całą duszę wyjawię. Książę Bogusław, nie kontentując się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze i dziewczkę tę z Kiejdan wywiózł i w Taurogach ją więzi, albo gorzej: bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panińską cześć nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakich to rękach ona nieboga... Na Mękę Pańską! mniej te rany bołą... Toż ta dziewczka dotąd myśli, że ja się temu potępińcowi, temu arcypsu ofiarowałam na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę, póki jego nie dostanę, póki jej nie wydrę... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle Szwedów natłukę, że ten dziedziniec łbami można będzie wyłościć...

— Uspokój się! — rzekł król.

— Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstydyby mi było prosić, ale tu się jedno z drugim schodzi. Przyszła pora Szwedów bić? jaż nie innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ściagać, jaż go będę ściagał do Inflant, do Kurlandyi, choćby się do septentrionów, albo nawet za morze do Szwecyi schronił, pójdę za nim!

— Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

— To im pójdę na spotkanie!

— Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

— Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał i nie przykrył.

— Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego ante omnia uderzą!

— Pójdę do pana Czarnieckiego. Tem spieszniej trzeba mu, miłościwy panie, sukurs dać.

— Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie szwedzkie prezydyja stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą pruską, od Tylży nieopodal.

— Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść, dojdę i nie tylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tam cała okolica na koń przeciw Szwedom siądzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzie to teraz nie można dojechać, gdy w całym kraju, jak w garnku. Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

— Bo i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

— A no! a no! niech jeno nie zechcą, niech jeno spróbują — mówił Kmicie, ściskając na samą myśl zęby — jak ich jest czterystu, czy tam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zbraknie!... Niech mi się popróbują buntować...

— Jędreku! — zawołał król, wpadając w dobry humor i wydymając usta — jak mi Bóg miły, tak lepszego pastusza dla tych owieczek nie znajdę! Bierżże ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

— Dziękuję, miłościwy panie! ojczyźnie dobroćliwy! — rzekł rycerz, ściskając kolana królewskie.

— Kiedy chcesz ruszyć? — pytał Jan Kazimierz.

— Boga mi! jutro!

— Może Akbah-Ułan nie zechce, że to konie mają zdrożone?

— To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

— Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie dobrych, póki można, sposobów używaj. A teraz... Jędreku... dziś już

późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem, weź ten pierścień, powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazuje, aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

— Dajże Boże! — mówił ze łzami w oczach junak — dajże Boże, abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy!

Tu król cofnął się, bo było już późno, a Kmicie poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyślać, od czego począć, gdzie najpierw jechać należy?

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach niema, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo istotnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łatwo się było do Tylży, pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt mieć będą, zatem, byle Oleńka została pod jej opieką, to nie złego spotkać ją nie może. Jeżeli zaś do Kurlandyi pojada, to tem lepiej.

— I do Kurlandyi jechać z moimi Tatarami nie mogę — rzekł sobie Kmicie — bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

— Kto tam? — zawołał Kmicie.

Poczem do pacholika:

— Idźno, obacz!

Pacholik poszedł i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

— Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zwie Soroka.

— Puszczej, na miły Bóg! — krzyknął Kmicie.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

— Bywaj, miły Soroka, bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ruchem chciał paść do nóg pułkownika, bo był to raczej przyjaciel i sługa, równie wierny, jak przywiązany, lecz żołnierska subordynacya przemogła, więc wyprostował się i rzekł:

— Na rozkazy waszej miłości!

— Witaj, miły towarzyszu, witaj! — mówił dalej żywo Kmicie — myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić, nie pospolitując się zbytnio, gdyż Soroka pochodził z zaścianku, z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

— Skąd idziesz? — pytał Kmicie.

— Z Częstochowy, wasza miłość.

— I mnie szukałeś?

— Tak jest.

— A od kogożeście się tam dowiedzieli, żem żyw?

— Od ludzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

— A ksiądz Kordecki zdrów?

— Zdrów, wasza miłość, jeno nie wiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

— Pewnie, że nie inaczej. Gdzieżeś to się dowiedział, żem z królem do Lwowa przybył?

— Myślałem sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to musi przy nim być, bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

— Jutro z Tatary ruszam!

— To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę pełnych dwa: ten, co był na mnie i jegomości, a oprócz tego one kamuszki świecące, cośmy je z kołpa-

ków bojarom pozdejnowali i te, które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmy to skarbezyk Chowańskiego zagarnęli.

— Dobrze były czasy, gdyśmy skarbezyk ogarnęli, ale nie musi tam tego już wiele być, bom też przygarstkę księdzu Kordeckiemu zostawił.

— Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że możnaby za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy Soroka, zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosa.

— A kamuszki w onej blaszance — dodał, kładąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicie, nic nie mówiąc, wytrząsnął w garść nieco czerwonych złotych, bez rachuby i rzekł do wachmistrza:

— Masz!

— Do nóg upadam waszej miłości! Ej! żeby to ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

— Albo co? — spytał rycerz.

— Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz czleka kawalkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi wkońcu ledwie z głodu wlokłem.

— Na miły Bóg! przecież to wszystko miał przy sobie!

— Nie śmiałem bez permisji — rzekł krótko wachmistrz.

— Trzymaj! — rzekł pan Kmicie, podając mu drugą garść.

Poczem krzyknął na pacholików:

— Nuże, szelmy! Jeść mu dać, nim pacierz minie, bo lby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędzonej kielbasy i flaszka z wódką.

Żołnierz pił pożądlive oczy w posiłek, wargi i wąsy mu drgały, lecz sięść przy pułkowniku nie śmiał.

— Siadaj, jedz! — zakomenderował Kmicie.

Ledwie skończył, już sucha kielbasa poczęła chrzęścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy.

— Ruszajcie precz! — zawołał Kmicie.

Chłopy kopnęli się co ducha za drzwi; rycerz zaś chodził spiesznymi krokami po komnacie i milczał, nie chcąc przeszkadzać wiernemu słudze.

Ten zaś, ilekroć nalał sobie kieliszek gorzalki, tylekroć spoglądał z ukosa na pułkownika, w obawie, czy zmarszczenia brwi nie dostrzeże, poczem wychylał napitek, zwracając się ku ścianie.

Kmicie chodził, chodził, wreszcie począł sam ze sobą rozmawiać.

— Nie może być inaczej! — mrucał — trzeba tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... Na nic! Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za zdrajcę i psa ma... Niech jej w oczy nie lezie, jeno niechaj patrzy i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle.

— Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie przewrócił i wyciągnął się, jak struna.

— Wedle rozkazu!

— Tyś człek wierny i w potrzebie frant. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

— Wedle rozkazu!

— Do Taurogów, na granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy ona tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leż, chyba, iżby się zdarzyło, żeby samo wypadło. Wówczas powiesz jej i zaprzysięgniesz, żem króla przez góry przeprowadził i że przy jego osobie jestem. Ona ci pewnie nie uwierzy, bo mnie tam ksiązę oczernił, że na zdrowie majestatu nastaję, co jest łgarstwo psa godne!

— Wedle rozkazu!

— W oczy, powiedziałem, nie leż, bo i tak ci nie uwierzy... Ale gdyby się zdarzyło, powiedz, co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj! A sam się pilnuj, bo jeżeli ksiązę tam jest i jeśli cię pozna, on, albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją!

— Wedle rozkazu!

— Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie za głupi. Ci pójdą ze mną. Byłeś w Taurogach?

— Nie, wasza miłość.

— Pójdiesz do Szczuczyna, stamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw, po naszej stronie... Siedź w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i o pana Babnicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, Kmicie zaś długo jeszcze spać się nie kładł, ale wreszcie zmęczenie przemogło. Wówczas rzucił się na łożo i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wielce i silniejszy, niż wczora. Cały dwór już był na nogach i rozpoczęły się zwykłe dzienne czynności.

Kmicie poszedł naprzód do kancelaryi po nominacyę i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazi beya, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Za to też, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu piernacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, poczem w towarzystwie Kiemliczów i pachółków udał się wprost za miasto, gdzie Akbah-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicie i z czem przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

— Skoro król cię na przewodnika przysłał — rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku — to będziesz mi

drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba, a tyś młody i niedoświadczony.

— Z góry mi przeznacza, czem mam być — pomyślał Kmicic — ale póki można, będę politykował.

Tu ozwał się głośno:

— Akbah-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz, woli jego kr. mości nie negując.

— Nad Tatarami chan, nie król stanowi! — odrzekł Akbah-Ułan.

— Akbah-Ułanie — powtórzył z naciskiem pan Andrzej — chan darował cię królowi, jakoby mu psa, albo sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię zaś jako psa na powrót nie wzięto.

— Ała! — krzyknął zdumiony Tatar.

— Ejże, nie rozdrażniaj mnie! — odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Akbaha-Ułana krwią zaszyły. Przez czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku mu spęczniały, ręka chwyciła za kindżał.

— Kęsim! kęsim! — krzyknął przyduszonym głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecywał sobie politykować, miał już dosyć, gdyż bardzo z natury był porywczy. Więc w jednej chwili podrzuciło w nim coś tak, jakby go gadzina żgnęła, całą dłońią porwał Tatarzyna za rzadką brodę i zadartszy mu głowę do góry, tak, jak gdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, kozi synu! Wolałbyś nikogo nad sobą nie mieć, by palić, rabować, wycinać!... Przewodnikiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłuc głową jego o zrąb.

Puścił go wreszcie zupełnie osłupiałego, ale nie sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za popędem swej gorącej krwi, odkrył mimowoli najlepszy sposób przekonywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywykłych. Jakoż w potłuczonyj głowie Tatara, mimo całej wściekłości, jaka go

dusiła, błysnęła zaraz myśl, jak potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

— Bagadyr! Bagadyr! Bagadyr!

Kmicie tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty i rzekł:

— Patrz tu, rabie! i tu!

— Ała! — ozwał się przerażony Ułan.

— I tu! — dodał Kmicie — wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah-Ułan leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim węzłem po drodze, wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a pan Kmicie, siedząc na dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował, oganiał czambuł, jak pies owczarski ogania owce.

Akbah-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych, odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zbraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rosło, gdy patrzył na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kożuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

— Osobliwszyż to komunik — myślał sobie — i tak mi się wydaje, jakobym stada wilków przywodził, ale z takimi właśnie można przejść całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekażże, książę Bogusławie!

Tu chełpliwe myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chełpliwości wielce był skłonny.

— Bóg dał czleku obrotność — mówił sobie — wczora miałem jeno dwu Kiemliczów, a dziś czterysta koni za

mną człapie. Niech jeno taniec rozpoczne, będę miał tysiąc, albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompanionowie nie powstydzili... Czekajże, książę Bogusławie!

Lecz po chwili, dla uspokojenia sumienia, dodał:

— A przytem ojeczyźnie i majestatowi znacznie usłużę..

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to, że szlachta, Żydzi, chłopci, nawet większe kupki popolitego ruszenia, nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesycała wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blisko i nagle spostrzegłszy, kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

— Słowo stało się ciałem!

— Jezus, Marya, Józef!

— Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczejby było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nie przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął w dali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się zwolna wśród tumanów pary, podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierzawca z Wąsoczy. Obaj, pomijając oddział, pędzili wprost do pana Kmicica.

— Stój! stój! — wołał mały rycerz.

Kmicie wstrzymał konia.

— To wasza mość!

Wołodyjowski osadził z kolei szkapę.

— Czołem! — rzekł! — listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

— Jaż do pana Czarnieckiego jadę, nie do pana Sapiehy.

— Przeczytaj jeno naprzód pismo!

Kmicie złamał pieczęć i czytał, co następuje:

„Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiehę uderzyć zamysła. Że zaś magna pars sił pana sapieczyńskich na prezydyach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikiem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, nie potrzebniebyśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego afektom wojewodzińskim, a przedewszystkiem opiece Boskiej polecamy. Jan Kazimierz, król“.

— Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczęśliwa dla mnie nowina! — zawołał Kmicie. — Nie wiem już, jako królowi i waszmość panu mam za nią podziękować!

— Sam też podjąłem się jechać — odrzekł mały rycerz — a to z kompasyi dla waszmości, bom widział, twoją boleść i dlatego, aby listy napewno doszły.

— Kiedyż ów goniec przyszedł?

— Byliśmy u króla na obiedzie: ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimajnujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradności Sapia i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż ślozy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bezustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się obruszył: „Idź do kata (rzecze), może zła nowina, nie psuj mi uciechy!“ Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapiehy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czem już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

— Jeszcze jeden wróg, jakoby ich mało dotąd było! — krzyknął Kmicie.

I złożył ręce.

— Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapięha do Prus książęcych pozwoli, a da Bóg miłosierny, że dziejące pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

— Może to być, że tam pójdziecie — odrzekł pan Michał — ale wprzód musicie Bogusława znieść, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzone go w ludzi i na Podlasiu mu iść dozwolono.

— To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! — mówił z iskrzącymi oczyma Kmicic. — Gdybyś mi waszmość nominacyę na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej!

— Król też zaraz zakrzyknął: „Gotowa dla Jędrka ekspedycya, od której dusza się w nim uraduje“. Chciał też wnet pokojowego za waścią wysłać, ale ja powiadam: Sam pojedę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

— Bratby tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże Boże czemkolwiek się wywdzięczyć!

— Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem.

— Bom też czego lepszego był nie wart. Nie to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieka, jeżeli pomiędzy wszyskiem rycerstwem bardziej kogo od waćpana miluję!...

Tu znowu poczęli się ścisnąć, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

— A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim nie łatwo!...

— Jednemu z nas już śmierć pisana!

— Dobrze!

— Ej, żebyś to waszmość, któryś jest do szabli geniusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! niema czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą i krew jego obaczę, chyba, że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

— Bóg pomagaj!... Szcześliwej drogi!... A dajcie tam dziegielu zdrajcom Prusakom!... — rzekł pan Wołodyjowski.

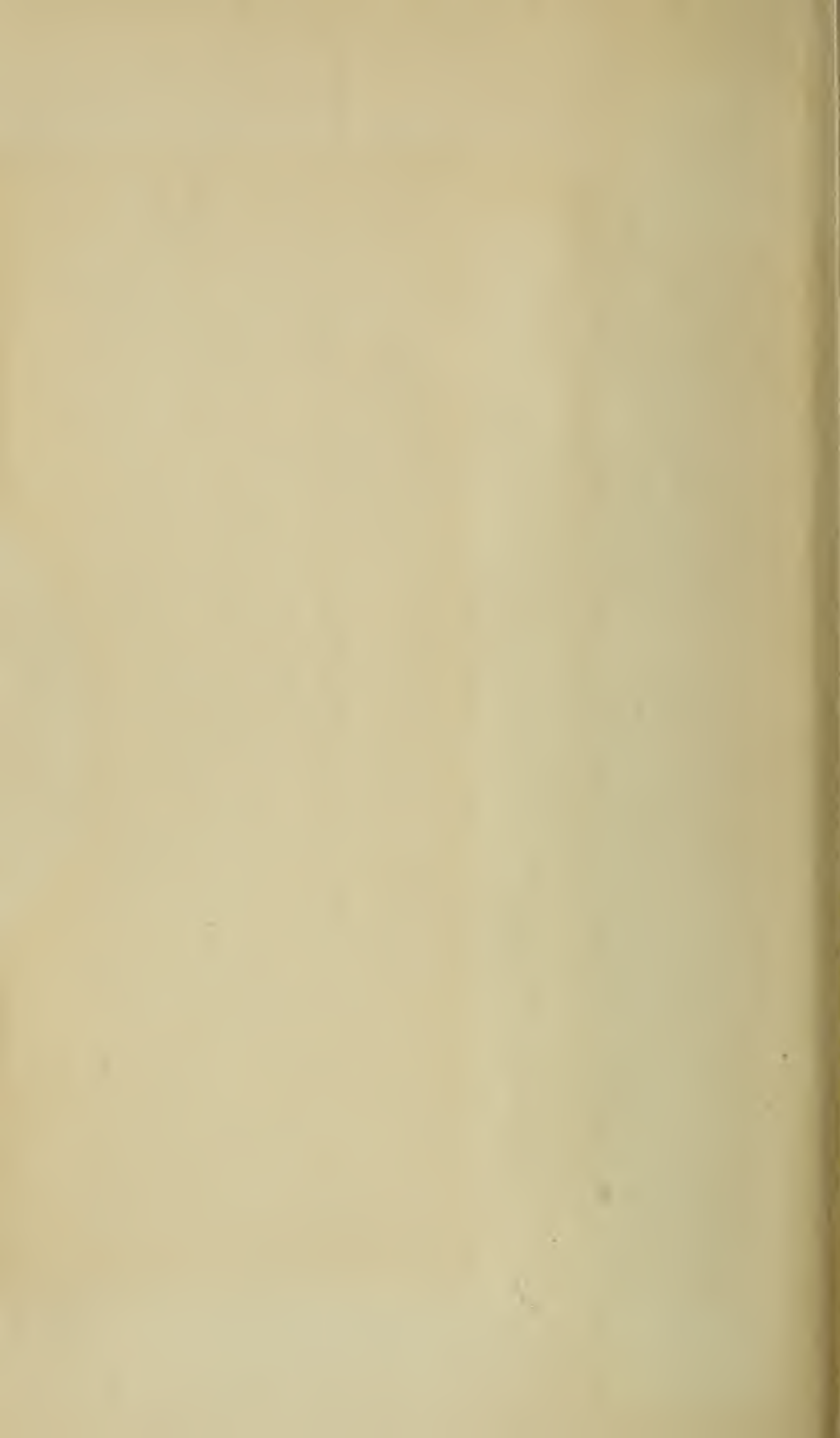
-- Bądźcie spokojni. Obrzydnie im luterstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, poczem obaj odjechali z powrotem do Lwowa.

Kmicie zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca i poszedł wprost ku północy.

KONIEC CZĘŚCI SZÓSTEJ.





486124

Sienkiewicz, Henryk
Pisma.

v. 66

LP
S5724

NAME OF BORROWER.

DATE.

Mend (M.D.)

**University of Toronto
Library**

**DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET**

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED

